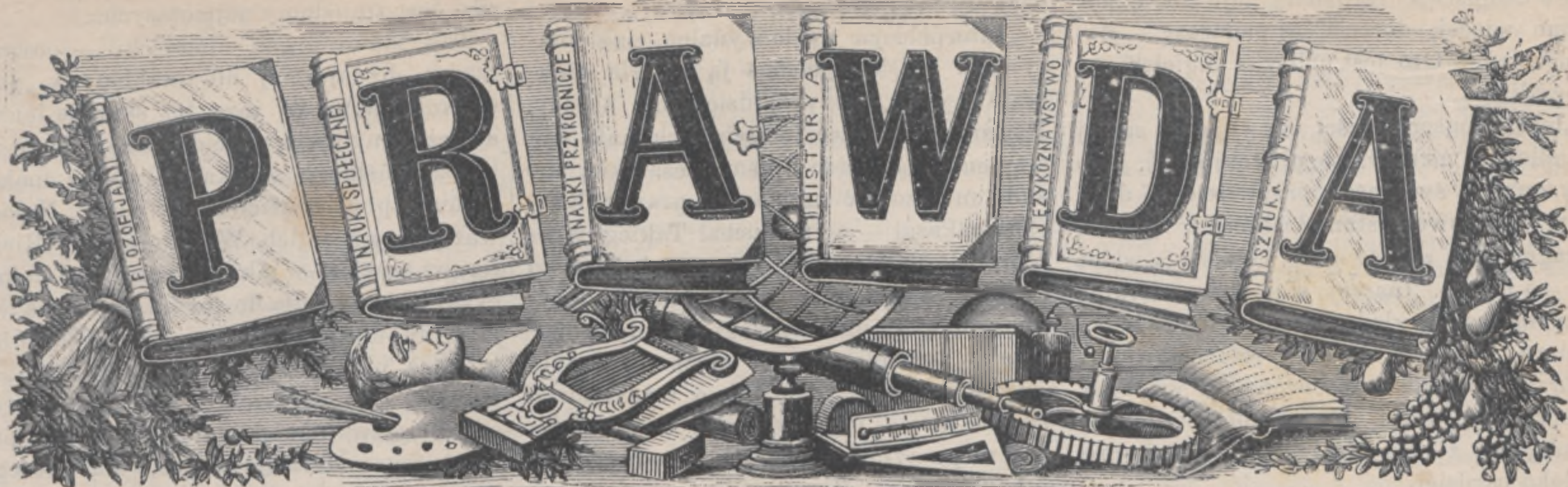
№ 51. Warszawa, dnia 19 (7) Grudnia 1885 r. Rok V.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

Szan. abonentów naszych prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty. Warunki wydawnictwa naszego pozostają na rok przyszły też same.

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN
w przekładzie J. K. Potockiego.

O książce tej znajdzie czytelnik szczegółowe objaśnienie w osobnym artykule dzisiejszego numeru.

Polityka kupiecka.

Rezultat wyborów do angielskiej Izby gmin, dokonany według zmienionego systemu, nie przyniósł żadnej niespodzianki, której oczekiwano po dopuszczeniu do urny blisko dwu milionów głosów nowych. Nie jest to bowiem wcale dziwnem, że liberalni posiadają kilkadziesiąt głosów więcej, że irlandczycy zatrzymają nadal możność przechylania szali obrad na jedną lub drugą stronę i że „parlament" zwać się będzie — jak powiada jedno z pism humorystycznych — „parnelmentem" (od Parnela). Tak było i dotąd. Co więcej—dotąd z większością liberalną rządził gabinet konserwatywny, który ona znowu pozostawia przy sterze. A więc „kubek — w kubek." Mimo to ów „Jakóbek" zasługuje na uwagę przez rolę, jaką odegrał w wypadkach półwyspu bałkańskiego.

Wiadomo, że Anglia, na konferencyi stale i energicznie popierała bułgarów oraz ks. Aleksandra. Wiadomo również, że cała ta miłość płynęła z nienawiści — ku Rosyi, która cieszy się stale nieprzyjaźnią konserwatystów angielskich a sympatyą liberałów. Jeżeli więc pierwsi nie zostaną wysadzeni z siodła, oddziałają niewątpliwie na kierunek rozwiązania kwestyi serbsko-bułgarskiej.

Jaki zaś kierunek jest przez nich pożądanym, objaśnia nas pośrednio artykuł *Fortnightly Review*, mający poważne źródło w stronnictwie Gladstone'a. Autor zaleca swej ojczyźnie przymierze z Rosyą dla skrępowania Niemiec i Austryi. Według niego, Bismark usiłuje uczynić Austryę panią krajów naddunajskich i półwyspu bałkańskiego, Rosyę zaś wynagrodzić za to w Azyi kosztem Anglii. Ta ostatnia więc musi starać się o wzmocnienie Rosyi w Europie dla odciągnięcia jej od zdobyczy azyatyckich. W wojnie krymskiej popełniła ona zgubny błąd i powinna była usłuchać ces. Mikołaja. który powiedział do posła angielskiego w Petersburgu: „Pozostawcie mnie w spokoju, a możecie wziąść sobie Egipt, jeśli chcecie — nawet Kretę." Gdyby Rosya zajęła Konstantynopol, Anglia władałaby Azyą. Skoro tylko Bismark zdoła posunąć Austryę do morza Czarnego, w Azyi rozpocznie się walka o przewagę między żywiołem słowiańskim i anglosaskim. Beaconsfield chciał z Anglii zrobić państwo dunajskie, do tegoż celu dąży obecnie Salisbury, popierający zjednoczenie Bułgaryi z Rumelią i pragnący wschód półwyspu bałkańskiego ogarnąć wpływem angielskim. Wybierajcie tedy — mówi autor—chcecie mieć pokój w swojej siedzibie azyatyckiej, trzymajcie się Rosyi, otwórzcie jej drogę do morza Śródziemnego i zamiast słowiańsko-anglosaskiej walki w Azyi wytwórzcie słowiańsko-teutońską w Europie.

Każdemu z czytelników *Prawdy* nasuwało się oddawna i nieraz pytanie: czemu przewodnicy liberalizmu angielskiego, którzy postawili sobie tak jasny program w polityce zagranicznej, którzy posiadają większość w parlamencie, którzy wierzą w zasadność i użyteczność swego planu — czemu ci ludzie nie chcą ująć rządów i wykręcają się konceptem, że „pozwalają konserwatystom zesmarzyć się bądź w własnym, bądź w irlandzkim łoju?" Czemu Gladstone dobrowolnie ustąpił i to w chwili, która mu dawała wyborną sposobność do działania? Przez pewien czas głoszono, że uczynił to ze względów zdrowia, że maleńka większość w Izbie niższej nie była dla niego dostateczną podstawą, że itd. No, ale teraz po nowych wyborach zyskał przeszło 80 głosów przewagi, a w połączeniu z parnelistami sto kilkadziesiąt — czemuż nie schwyta steru i nie zamienia „walki anglosasko-słowiańskiej w Azyi na teutońsko-słowiańską w Europie?" Odpowiedź może być tu tylko jedna: stronnictwo liberalne w Anglii nie ufa swojemu programowi i swojej polityce, boi się porażki. Posiada ono dość rozumu i siły na krytykę (zresztą dość łatwą) działania konserwatystów, na tworzenie „opozycyi," ale brak mu pomysłowości i energii w pracach i przedsięwzięciach pozytywnych. Jest to najmętniejsza galareta polityczna, jaka kiedykolwiek osiadła w Europie, tak mętna i nieoznaczona w swej postaci, że dla ogółu prawie zupełnie zatarła się już różnica między „whigami" i „torysami." W przestarzałem tem ciele siedzi duch stary, do wchłaniania nowych prądów niezdolny, daleki nawet od tych liberalnych żywiołów w innych krajach europejskich, które już widzą się w postępie spóźnione. Dość przytoczyć sprawę irlandzką. Liberalni, równie jak zachowawcy, nie mogą tam dotąd zdobyć się na uznanie słusznych żądań i uszanowanie praw Irlandyi, lecz po prostu w charakterze kupców stają do licytacyi przed Parnelem. Nie usiłują roz-

strzygając kwestyi zasadniczo, ale targują się o ustępstwa. Salisbury daje coś, Gladstone więcej; dorzuci coś pierwszy — dorzuca drugi. Oto jest polityka angielskiego liberalizmu.

Jeżeli konserwatyści używają tej samej handlowej metody, to przynajmniej, jako wyznawcy świętości przywilejów i dzieł siły, są ze swem stanowiskiem w zgodzie. Pragną oni zachować to, co jest, a oddać to, co muszą. Inaczej sknerstwo moralne i społeczne wygląda na sztandarze ludzi, którzy głoszą roszczenia reformatorskie, którzy mianują się obrońcami swobody i sprawiedliwości. Tu samolubstwo, wyglądające z pod idealnego płaszcza, razi daleko bardziej.

Zarówno tedy liberalni, jak konserwatywni przedstawiciele Anglii nie wnoszą do polityki ani wysoko wzbitych uczuć, ani ogólno-ludzkich zasad, lecz poziomy interes. Europa też i jej społeczeństwa wartość takich lub innych tam rządów winny mierzyć również interesem. John Bull w białej kurcie spekuluje i John Bull w czerwonej także spekuluje; zachodzi tylko pytanie: w której kurcie John Bull mimowoli przyniesie pośrednią korzyść każdemu z narodów objętych jego rachubą? Naturalnie rachunek ten dla różnych społeczeństw musi wypaść odmiennie, bez względu na ich sympatye do liberalizmu lub konserwatyzmu. Te w handlu nie liczą się — a tu mamy ogołocony z wszelkiego sentymentalizmu handel pod firmą Gladstona i Sp. lub Salisbury i Sp.

Smutne wyznanie.

„Trudno nie pisać satyry,“ trudno na ustach lub pod piórem stłumić wyrazy wzgardy czy klątwy, patrząc na losy interpelacyi o wydaleniach, wniesionej do sejmu niemieckiego. Co może dziać się w sercu polskiem, jeśli z niemieckiego płyną takie wyrzuty! Posłuchajmy — tak pisze gazeta bynajmniej w nas niezakochana, od wszelkiej „polskiej intrygi wolna“—*Frankf. Zeitung*:

„Interpelacya co do wydaleń, ciągle nazywana polską, chociaż ją poparła większość sejmu, nie przyjdzie pod obrady. Parlamentem rzeczywiście zachwiało wystąpienie kanclerza i pismo cesarskie; nie śmie on pozostać przy swem prawie. Kanclerz zakazał — sejm słucha! Takiego wrażenia dozna kraj — i słusznie! Jest to czczym wykrętem, gdy centrum (katolicy) i postępowcy brak odwagi — o ile tu wogóle o odwadze mówić można — usiłują zakryć oświadczeniem, że o wydalaniach będzie mowa przy wniosku socyalno-demokratycznym i etacie. O obrady wcale już nie chodzi. Zapewne, ocenienie tego niesłychanego środka jest koniecznem, a sama odwłoka dowodzi obojętności, która, jako objaw zaśnięcia sumienia politycznego naszej reprezentacyi narodowej, tyle prawie godna pożałowania, co wygnanie 30,000 nieszczęśliwych ludzi, których jedyną zbrodnią była ich — narodowość. Kto na tygodnie odsuwa protest przeciwko takiemu postępowaniu rządu pruskiego, ten niema serca dla niedoli wygnańców i żadnego poczucia sromoty, która spadła na naszą ojczyznę — udaje tylko, *ut aliquid fecisse videatur*. Ale to jedna strona sprawy. Po wystąpieniu kanclerza chodziło już nie o same obrady nad banicyą, ale o to, ażeby sejm zachował swoje prawo i swoją godność, nie pozwalając sobie zakazywać tego, czego mu nikt zakazać nie może. Tak pojęli położenie rzeczy Richter i Windhorst pod bezpośredniem wrażeniem mowy kanclerza. Wtedy protestowali — czemuż teraz tego nie czynią? Interpelacya, której rozpoznania Richter żądał natychmiast, byłaby dziś także najprostszą i najlepszą sposobnością do wytoczenia sprawy. Pomijając wygnania, sejm musi obstawać przy swem prawie zbadania interpelacyi, której nawet nie zdołano uzasadnić. Przez usunięcie jej, wyznaje — bez względu na to, co powie przy wniosku socyalno-demokratów i etacie — że kanclerz słusznie wzbronił mu rozpraw nad tym przedmiotem. Śród wielu ciężkich uderzeń, które na sejm spadły i które jego powagę obraziły, jest to jedno z najcięższych...“

Tak mówi organ niemiecki — powtarzamy—bynajmniej nie uwikłany w „polską intrygę.“ W jego też skardze łatwo dostrzeżemy dwie splecione nici: odrazę do barbarzyńskiego środka i wstyd z upokorzenia „przedstawicieli narodu.“ Najodważniejszym z nich, Windhorstowi i Richterowi szybko — jak się wyrażają niemcy—„serce wpadło do spodni.“ Ta zaś bojaźń, ta nieznana innym parlamentom lękliwość przekonywa, do jakiego stopnia Bismark *panuje*. Wszelki ostrzejszy i twardszy przeciw niemu opór uważa się za patryotyczne odszczepieństwo, dla którego w sercach i mózgach niemieckich zanikły odpowiednie komórki. Dawniejsi tego rodzaju dyktatorowie rządzili władzą, Bismark rządzi jakimś strachem. Żadnemu stronnictwu, żadnemu posłowi za opozycyę nic zrobić nie może, ale samą wolą swoją wywiera takie wrażenie, że łamie najzawziętsze zamachy. Kto słuchał stare w pierwszym dniu obrad nad interpelacyą i nie znał sejmu niemieckiego, przypuszczałby, że jego większość podrze uroczyście edykt pruski. Tymczasem kanclerz „tchnął — i rozproszyli się“ nieustraszeni rycerze.

Przed tym obrazem domyślamy się, jaka pobudka rzuca z gazet wygnańcom słowa głębokiego współczucia. Prasa niezależna, obok niechęci dla gwałtu, czuje wstyd w przekonaniu, że jest niczem, że niczem są przedstawiciele jej narodu, pozornie władający jego życiem. Wszystko spoczęło w rękach jednego człowieka — i to bynajmniej nie koronowanego. On może zrobić wszystko, czego zapragnie, on może nakazać milczenie najsilniejszym uczuciom i najświętszym zasadom, on depcze tych, którym winien służyć.

Na stanowisku patryoty niemieckiego zrozumieliśmy, że dla niego wygnanie 30,000 niewinnych ludzi jest prawie tyle bolesnem, co upokorzenie kilkuset wybrańców narodu.

PARADOKSY ŻYCIA.

III.

Julka.

Panna Nana wkrótce zmieniła mieszkanie i powiększyła znacznie zakres swej działalności.

Julka obojętnie witała szereg przybywających coraz to nowych towarzyszek. Życie wydawało jej się snem, który ciążył ciągle na obwisłych jej powiekach.

Straciła pamięć i nie byłaby umiała powtórzyć dziś tego, co miało miejsce wczoraj. Rozleniwiona, zadrzemana, przechodziła z kąta w kąt, z kanapy na kanapę, pogryzając słodycze i patrząc bezmyślnie na grające w karty swe koleżanki.

Czasami elektryzowało ją jedno, silniejsze nad wszystkie inne, wspomnienie. O zmierzchu, wśród zupełnej ciszy, doznawała dziwnej trwogi i oglądała się wówczas na wszystkie strony, nadsłuchiwała, kryła za fałdy firanek, zaciskając pięście, jakby dla obrony, i otwierając usta, jak do okrzyku...

Służąca wchodziła ze światłem: widzenie pierzchało; Julka wpadała w poprzednią senność...

Czasami opanowywało ją coś na kształt żalu, tęsknoty: goniła wtedy myślami najpierwsze lata swego dzieciństwa, lecz ubiegłe chwile zacierały się coraz bardziej w jej mózgu: nie mogła złożyć w wyobraźni rysów zmarłej matki, nie umiała odtworzyć pamięcią ani jednego zakątka ciemnej suteryny, w której przebyła do lat sześciu: zdawało jej się, że straciła coś drogiego; płakała, walcząc z gasnącemi wspomnieniami.

Mężczyźni wyrzucali jej chłód i obojętność.

— Kiedyż się rozbudzi nakoniec?—pytali jedni drugich, mówiąc o niej.

Minęły dwie jesienie i dwie zimy, a ona zawsze jeszcze spała...

Nastąpiła wiosna, grając zmiennym kolorytem firmamentu i odmładzając życie.

Julka wyszła z domu któregoś ciepłego, słonecznego południa.

Powolnym krokiem przesunęła się wzdłuż kilku mniej ludnych ulic i zwróciła ku alejom, gdzie zieleniały pączki kasztanów i powietrze napływało szerszą, świeższą falą.

Wchodząc wązką furtką do parku, ku któremu prowadziły aleje, zaczepiła się piórem kapelusza o wystającą gałąź drzewa. Kręciła głową długo, nie mogąc jej oswobodzić z pod krępującego ciężaru. W chwili, gdy miała zdjąć kapelusz, nadszedł jakiś młody człowiek i nieproszony, usunął ostrożnie gałązkę, następnie, skłoniwszy się lekko, odszedł.

Julka stanęła, oglądając się za nim. Miał wzrost wysoki, dosyć silną budowę, kolor włosów ciemny. Przypomniała sobie jego spojrzenie w chwili, kiedy zatrzymał się przed nią.

Czarne jego oczy zdradzały pewne zmęczenie; sinawe, lekko nabrzmiałe powieki zasłaniały je do połowy.

Julka tego dnia wróciła z lekkimi rumieńcami na twarzy.

Panna Nana uściskała ją, namawiając, aby codzień wychodziła po trosze na spacer. Nazajutrz od samego rana wzięła zegarek w rękę. Gdy wskazówki stanęły na dwunastej, włożyła ten sam kapelusz, który miała wczoraj, i temi samemi ulicami skręciła w aleje. Przy wejściu do parku zdaleka spostrzegła wczorajszego nieznajomego, siedzącego na ławce i pilnie wczytanego w grubą jakąś, zielono oprawną książkę. Chciała przesunąć się obok

Z GALICYI.

Lwów, 10 grudnia 1885.

Sejm. — Zmiany w klubach. — Brak inicyatywy. — Rada niemająca o czem radzić. — Opowieść ilustrująca stosunki.

Kilkanaście dni upływa od chwili otwarcia sejmu. Jak zawsze, formalności konieczne i pierwsze czytania wniosków zajęły głównie czas, tak, że o właściwej pracy jeszcze niema mowy. To tylko pewne, że dziwna jakaś atmosfera senności, czy zniechęcenia, ciążąca widocznie na całem zgromadzeniu naszych ojców narodu, nie pozwoli im rozwinąć zbytniej energii w działaniu. Podobnie prasa, chociaż otworzyła zwykłą rubrykę dla spraw sejmu, ani gorętszego zajęcia się nim, ani wiary wielkiej w wyniki jego działań nie objawia. Przyczynia się do tego nie mało wiadomość, że czas, przeznaczony dla tegorocznej sesyi, jest nader krótki. Co do mnie, nie wierzę na teraz, ażeby nawet dłuższy coś pomógł. Ani skład zgromadzenia, ani usposobienie społeczeństwa półsennego nie usposabia do lepszych nadziej.

Skład ten nie uległ wielkim zmianom. Klub postępowy, poprzednio słaby i nieporadny a nigdy karnie niezorganizowany, rozpada się do reszty: nic o nim nie słychać, znaków życia nie daje. Stronnictwo „pana Kazimierza" (Grocholskiego), pozbawione w tym roku wybitnego swego przywódcy — bo prezes Koła polskiego przebywa w Abazyi dla poratowania mocno nadwątlonego zdrowia — szukało jakiś czas oparcia u b. namiestnika Potockiego, który zawsze obok Grocholskiego najpotężniejszym był poplecznikiem prawomyślnych zasad; p. Potocki jednak nie chciał przewodniczyć klubowi i prawdopodobnie zbyt czynnego udziału w pracach sejmowych nie weźmie. Ostatecznie zastępuje Grocholskiego hr. Jan Tarnowski — także jeden z „twardych." Najwięcej ducha inicyatywy okazuje znany czytelnikom *Prawdy* z przeszłorocznych sprawozdań klub „ateńczyków;" z jego łona ma wyjść wkrótce kilka wniosków. Rusini szczupłą gromadką nie mogą wprawdzie imponować, ale przynajmniej godnie zaznaczają swe stanowisko. Już na pierwszem posiedzeniu Romańczuk stanął w obronie pokrzywdzonego języka rusińskiego, o czem poprzednio w sprawozdaniu z otwarcia sejmu wspomiałem. To otwarcie jest jeszcze dotychczas przedmiotem rozpraw w prasie. Nie wystąpienie Romańczuka jednak zajmuje tak umysły, ale mowa marszałka. *Dziennik polski* i *Gazeta narod.* zarzuciły mu zbytni optymizm a ostatnia nawet wręcz wypowiedziała zdanie, że optymistyczną mową swą *struł* cały sejm. Sprawiedliwiej ocenił jego wystąpienie *Kuryer lwowski*, widząc w słowach jego energię i konsekwencyę na polu pracy ekonomicznej. *Reforma* wreszcie zaznacza, że optymizm marszałka przybiera cechę silnej „wiary," iż jakkolwiek położenie kraju jest złem, to jednak przy usilnej, energicznej a ofiarnej pracy musi być lepszem. To ostatnie zdanie podzielam, ale niestety muszę także zauważyć, że ramy tej pracy, zakreślone w mowie wstępnej, są tak skromne i tak jednostronne, iż nikogo głębiej patrzącego na rzeczy zadowolnić nie mogą. Nie idzie za tem, ażebym popadał w skrajność, jakiej zwolenniczką jest *Narodówka*, ani też, ażebym szedł torem tych, którzy wszystko tylko krytykują. Sądzę jedynie, że marszałek powinien śmielej sięgnąć w stosunki krajowe i powinien postawić szerszy i głębszy program prac dla sejmu. Niech on jeden przynajmniej budzi senne społeczeństwo, niech przypomni ćwierćwiekową pracę konstytucyjną, w której tyle zadań nie rozwiązano, chociaż ich tyle porozpoczynano. Czyż zawsze sejm ma być tylko opiekunem spraw właścicieli większych posiadłości i łataczem dziur budżetowych?

Że takiej inicyatywy u nas koniecznie potrzeba i to na każdem polu, mam przykład wcale wymowny. Przed kilku dniami wyczytałem w gazetach ogłoszenie, że nasza Rada miejska nie odbędzie zwykłego swego tygodniowego posiedzenia dla braku spraw. Ostatnie trzy wyrazy podkreślam. Widzicie, do jak szczęśliwego stanu doszło nasze miasto. Osobnik każdy niewątpliwie codziennie znajdzie dla siebie sporo czynności a niejeden wzdycha, że dzień za krótki. Nasza Rada miejska doprowadziła już miasto do tak kwitnącego stanu, że nawet niema o czem radzić. A jakże rzeczywistość odbiega od tego sielankowego obrazu! Prawie równocześnie z owem ogłoszeniem wyczytałem suchą opowieść, którą tu powtórzę w krótkości. W szpitalu lwowskim leżała żydówka Ryfka Żurawner. Ponieważ okazało się, że jest nieuleczalną, wydalono ją po upływie przepisanego regulaminem czasu. Należała do gminy lwowskiej, więc oddano ją magistratowi miasta, ten zaś, nie mając żadnego budynku na pomieszczenie nieuleczalnych, odesłał ją do aresztu miejskiego. Pozostawiona tam w zimnej i ciemnej komórce umarła, co stwierdził lekarz miejski. Zawezwano wtedy zarząd żydowskiego szpitala, ażeby zabrał zwłoki dla pochowania, skutkiem czego grabarz izraelski przybył z wozem i odwiózł je do trupiarni. Przy składaniu ciała na mary odkrył dozorca trupiarni, że rzekoma nieboszczka oddycha, narobił więc hałasu i doniósł o tem zaraz zarządowi szpitala. Przeniesiono nieszczęsną do sali chorych, udzielono jej pomocy lekarskiej, ale żyła już tylko półtory godziny i to w stanie nieprzytomnym.

Być może, że biedna żebraczka byłaby i tak umarła o godzinę później, może nawet i w tej samej chwili, gdy to się rzeczywiście stało — ale czyż cały fakt ten nie jest policzkiem moralnym dla społeczeństwa naszego, które coś podobnego znosi obojętnie; czy w szczególności nie powinnoby się coś odezwać w sumieniu sławetnych stu rajców król. stołecznego miasta Lwowa, którzy nie mają o czem radzić? Więc w stolicy kraju, pod bokiem najwyższych władz krajowych może człowiek zginąć, jak zwierzę, dlatego, że jest nieuleczalnie chorym i biednym?! I fakt taki przechodzi bez wrażenia i nikt nie chłoszcze tych, którzy wzięli na siebie obowiązek czuwania nad dobrem miasta! A, panowie, nie upiększajcie miasta, nie podnoście go, jeżeli to się wam niepodoba, nie zaprowadzajcie wodociągów, kanalizacyi i tysiąca innych urządzeń, które znamionują jakiś postęp, ale przynajmniej pamiętajcie o najpierwszych zasadach zwykłej moralności i nie pozwalajcie ludziom ginąć marnie!

Leszek.

NIEZNANY OBRAZEK.

W liście Z. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego, pisanym we Frankfurcie dnia 23 sierpnia, 1834 r., znajdujemy następującą wiadomość: „Jeśliś czytał — piszę tu autor *Nieboskiej* — w gazecie *Polonais* kawałeczek pod imieniem *Etoile, to mój*; dostał się zaś tam szczególnym, nieprzewidzianym przezemnie sposobem. Zachowaj numer ten a potem mi go prześlesz, gdzie ci napiszę, jeśli możesz." Po tej wskazówce doszedłem do posiadania jednego z prześlicznych obrazków Krasińskiego, zupełnie nieznanego, lecz coś ją wstrzymało; poszła cokolwiek dalej; wracając, spojrzała na ławkę: już go nie było.

Odtąd co południe wychodziła w aleje.

Kiedyś nieznajomy, spotykany codziennie, odprowadził ją do samej bramy i odchodząc, spojrzał tak znacząco, jak gdyby przyrzekał, iż wróci niedługo. Czekała tego dnia wieczorem, rozgorączkowana: nie przyszedł..

Nazajutrz nie zobaczyła go w parku; następnych dni nie widziała go także.

Może wyjechał.. Może chce ją spotkać gdzieindziej...

Błądziła po najodleglejszych zaułkach parku: następnie wychodziła na najludniejsze ulice, patrząc przed siebie i śledząc wzrokiem każdego przechodnia...

Wracała zmęczona i zniechęcona. postanawiając nie myśleć o „nim," odpędzając od siebie każde żywsze wspomnienie.

Na drugi dzień jednak rozpoczynała poszukiwania na nowo.

Nie rozmawiała z „nim" nigdy. Usłyszała głos „jego" raz tylko, kiedy, nie widząc nikogo dokoła siebie, odczytał głośno jakiś ustęp z wyciągniętego z bocznej kieszeni tużurka rękopisu.

Nie umiała pamięcią odtworzyć dokładnie jego rysów, gdyż widziała go zawsze tylko w przejściu, przelotnie, a jednak wydał jej się innym zupełnie, jak wszyscy, poznani dotąd mężczyzni.

Czemu nie przychodził?

Powoli ogarniał ją nieprzezwyciężony wstręt do tych, co żądali jej uścisków. Gustaw, mówiąc raz o niej, oznajmił Adolfowi: „Mała rozbudza się po trosze; przynajmniej odpycha, dobre i to na początek; reszta znajdzie się później!"

Po pijanych orgiach, jakie urządzała u siebie panna Nana, Julka wstawała czasami dopiero koło południa z głową ciężką, jak po zagorzeniu, z nabrzmiałymi palcami i wargami. Spojrzawszy na twarz swoją w lustrzo, zrywała się z łóżka i zaczynała biegać po pokoju, jak szalona, uderzając czołem o futrynę drzwi, szarpiąc piersi, ciągnąc głowę w tył za warkocz i jęcząc z bólu...

Chwytała gruby sznur od firanek lub ręcznik i, okręciwszy go koło szyi, ściągała dotąd, póki nie doznała wrażenia duszności.

Wówczas ręce jej opadały. Siadała na pierwszem lepszem krześle i, zwiesiwszy twarz na piersi, patrzyła bezmyślnie w kwadraty woskowanej posadzki.

Wstając po godzinie, szeptała sama do siebie: „Może dziś przyjdzie" i ze spokojem zaczynała rozczesywać potargane włosy.

Wiosna minęła. Lato miało się ku schyłkowi.

Raz Julka, zatopiona w myślach, stanęła we drzwiach balkonu, wychodzącego na wązkie, ciasne podwórko, zastawione po przeciwnej stronie trzypiętrową oficyną. Deszcz, wywołany parnem powietrzem dnia całego, spadał ciężkiemi kroplami, ściekając z dachów z łoskotem. Już zmierzchało, kiedy z bramy weszło szybko na dziedziniec dwoje młodych ludzi, mężczyzna i kobieta. On prowadził ją za ramię i, przystanąwszy w pierwszej sieni na prawo, spojrzał na suknię jej i na stopy, badając, czy nie bardzo zmokła? Julka znała ich z widzenia, jako młode, od dwóch lat zaledwie ze sobą żyjące małżeństwo. Mimowoli spojrzała na duże, odsłonięte weneckie okno na pierwszem piętrze, należące do ich mieszkania.

Już byli u siebie.

Młody małżonek sam z pośpiechem zdjął z żony zmoknięty paltocik i okrył ją chustką; następnie, przysunąwszy do okna fotel, posadził ją w nim, ściągnął z nóg jej mokre buciki i nałożył pantofelki, które podała służąca. Ona ucałowała go za to po rękach; następnie, śmiejąc się, zaczęła

nego w literaturze polskiej. Utwór ten, pisany nie wiadomo czy oryginalnie w języku francuskim przez Krasińskiego, umieszczono bezimiennie w miesięczniku francuskim (r. 1834, w tomie II na str. 112—4). Krasiński, jak wiadomo, nie drukował utworów swych pod własnem imieniem, o niektórych (jak np. niniejszy), wiedziało zaledwie szczupłe grono najbliższych przyjaciół. Tym sposobem więc można sobie wytłomaczyć, dlaczego ta drobna, piękna perełka utonęła w morzu zapomnienia. Dzisiaj, przez wydanie korespondencyi Krasińskiego, wystąpiła ona na brzeg i domaga się prawa obywatelstwa oraz należnego miejsca wśród znakomitych utworów autora *Nieboskiej.*

Podajemy obrazek ten fantastyczny, który dziwnym sposobem uszedł uwagi nawet specyalistów, w przekładzie polskim panny Halki Szydłowskiej, składając jej na tem miejscu uprzejme podziękowanie.

H. B.

GWIAZDA.

(Myśli).

Od czasu do czasu znikała gwiazda z przestworza niebieskiego, widziano ją świecącą przez wieki całe a potem przyszły chwile, kiedy jej już nie dostrzeżono. Runęła w przepaść, unosząc z sobą jedną myśl boską.

Posłuchajcie historyi jednej z nich; nie będzie długą, bo szybko ta gwiazda stoczyła się w przepaść, nie jest dawną, bo teraz dopiero zgasły jej promienie. Wy patrzyliście w jej bieg szalony, gdy przelatywała przez sklepienia nieba, słaba, jako cząsteczka wielkiego świata, piękna, jak nasza ziemia w pierwszym dniu swego istnienia, przeznaczona na upadek, choć ci, którzy ją widzieli, wielką jej przyszłość rokowali. Gdy przechodziła obok was, oddaliście jej pokłon, jakby zorzy porannej, podczas gdy ona wieczorną już była.

Ale bylibyśmy niewdzięczni, gdybyśmy tak prędko zapomnieli o tej gwieździe, która nam wlała życie w duszę, zdała się nam przepowiadać lepszą przyszłość i przy której zbladły inne planety ze wstydu i z wściekłości.

Było to w piękną noc jesienną, gdy pierwszy raz zabłysła ta gwiazda. Drżące jeszcze jej promienie słabość jej wykazywały, i wszyscy się ulitowali nad tem biednem dziecięciem niebios. Droga jej zasłaną była przeszkodami strasznemi, skałami ubielonemi w mlecznej drodze, mgłami zimnemi i planetami z krwi i ołowiu, które wiecznie wiszą nad naszemi głowami.

Jedni płakali z litości, drudzy uśmiechali się wzgardliwie a wszyscy mówili: „I cóż potrafi dokonać ten odłamek zaginionego świata pomiędzy strasznymi legionami, stojącymi na drodze spiżowej.“ Ale ten biedny odłamek zmusił ich wszystkich do milczenia, bo im zabłysnął swoimi wielkimi czynami, tak, że już tylko szeptali: „to młody kometa.“

Och, to był kometa, ognisty, rozszalały, nieokiełznany; kometa ten przeleciał od jednego do drugiego krańca, nie licząc lat, nie widząc przeszkód i cel swój tylko mając na celu. Choć piękny i błyszczący, nie przyciągał nikogo — nikt z jego towarzyszów nie wyprzedził, ani poszedł u jego boku. Jedni, bliżsi mu, znikali w błyskawicach, jakie rozrzucał w swym biegu — inni. dalecy, zebrali się gromadnie i nie chcieli psuć porządku starego świata. Ale byli i tacy, co wyruszyli przeciwko niemu, aby go zdruzgotać. On się nie wahał—pędził naprzód, przeszedł po ich ciałach i odrzucił ich od siebie. Leciał ciągle, leciał, ufając aniołowi stróżowi i Bogu, który go stworzył, wyciągając drżące promienie do ciał niebieskich; ale tamte milczały nieruchome. Wtedy zatrzymał się, aby nabrać oddechu. W tej chwili zginął. Kołysząc się w przestrzeni, ujrzał nagle, że wszystkie ciemne gwiazdy schodzą ze swoich stanowisk, aby uderzyć na niego. Jego ostatnie promienie były krwawe i blade, kilka jeszcze rzuciły jaskrawych błysków, potem znikły.

Nastąpił upadek. Zobaczyliśmy wielką walkę i chmurę z ognia i krwi, która zakryła horyzont...

Gdzież jest teraz ta nasza gwiazda ukochana? Czyśmy tylko o niej śnili, czy prawdziwie nam błyszczała. Któż nam wskaże drogę, na którą wstąpiła po swym upadku. Czy opuszczona i nieogrzana żadnem ciepłem upadła w nieznaną krainę, czy rozproszyła się jak ziarna, które nigdy w żadną całość się nie złączą?...

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Czajkowski Michał. **Legendy** w *Bibliotece Pisarzów polskich* wyd. Brockhausa w Lipsku, 1885. Tom XII. str. 212).

Po długiem milczeniu odezwał się autor „Kirdżalego“ i „Wernyhory“ do publiczności polskiej, która go niegdyś na rękach nosiła a potem od siebie odepchnęła. Nie rozstrzygamy, ile w hołdach uwielbienia i w słowach wzgardy „królowej opinii“ jest prawdy, ale zdajemy sprawę z ostatniej książki autora. Jest to zbiorek obrazków i artykułów, pisanych już w Parchimowie, w latach 1883—4 r. a czerpanych do połowy tylko z fantazyi (skąd zapewne nazwa *Legend*); przebijają w nich bowiem wyraźnie owoce studyów i długoletniego doświadczenia. Pierwszy rozdział, zatytułowany „Ułani,“ kreśli w luźnych, od ręki rzuconych szkicach czyny bohaterskich ułanów polskich pod Napoleonem i cesarzewiczem Konstantym. Malowidłem gorącem i jakiemś kozackiem, czyli jak to autor nazywa „oczajduszowskiem“ zacięciem, niepospolitym talentem plastycznym i bogatą, wschodnią fantazyą przypominają te obrazki dawne, świetne czasy młodości Czajkowskiego. Nie chce się wierzyć, że to pisał ośmdziesięcioletni starzec—taka to świeżość barw, taka żywość uczucia, żeby powiedzieć prawdę—ale nie gniewajcie się za to młodzi adepci muz—wam *o pół wieku* młodszym brak tego ognia, tego młodzieńczego zapału—starca. Ale już w tych pierwszych obrazkach ułanów polskich widać manierę powieści kozackich „Czajki.“ Posłuchajcie! jeden tylko epizod ale bardzo charakterystyczny—stanie za najdokładniejsze omówienie.

„Pułkownik Stokowski, będąc kapitanem i komendantem kompanii, bo wtenczas kompanie były to, co dziś szwadrony, a szwadrony, co dziś dywizyony (sic), poszedł do kościoła dziękować Bogu za odniesione zwycięstwo, a że się zwał Jan, ukląkł przed figurą św. Jana z Kompostelli. Figura świętego była wielkości człowieka, nie dęta, ulana z czystego srebra, które Pizar i jego współtowarzysze przysyłali z nowego świata w darze do kościołów hiszpańskich. Podobała się bardzo kapitanowi i tak mu było słodko i lubo modlić się do niej, że postanowił nie rozstawać się z nią *usque ad finem.* Zawołał ułanów i z całym ceremoniałem religijnym włożył św. Jana w pakę i nie do Kompostelli, ale na swój ułański furgon. Woził go po wszystkich ziemiach hiszpańskich, niemieckich, słowiańskich, gdzie tylko ułani chodzili. Co rano, co wieczór, a nawet często i w dzień modlił się do niego, a w cięższych razach religijnie:—na klęczkach, upiłowywał paluszek od nogi, od ręki, kawałek łydki, krzyżem świętym się żegnając i po-

---

opowiadać coś żywo. Po chwili niańka przyniosła dziecko. Oboje zajęli się niem, pokazując mu to obrazki, to ucząc je wymawiać jakieś wyrazy.

Deszcz ciągle padał. Ściemniło się wcześniej, niż zwykle. Pozapalano światła. Julka ciągle jeszcze stała we drzwiach balkonu, patrząc i nadsłuchując. Zdawało jej się, iż dolatują ją głosy z przeciwka i dochodzi stamtąd powietrze, rozgrzewające krew w żyłach... Nie mogła oderwać czoła od szyby, o którą się oparła. Sylwetki młodych małżonków i dziecka zniknęły oddawna, a ona ciągle jeszcze stała wpatrzona, jak gdyby w dalszym ciągu śledziła obrazy rodzinnego życia. Tego dnia przypomniała sobie najwyraźniej każdą chwilę swego dzieciństwa; przypomniała sobie twarz matki i dźwięk jej głosu, przypomniała nawet słowa, które do niej mówiła niedługo przed śmiercią.

Odtąd całemi godzinami stała we drzwiach balkonu, patrząc w weneckie okno naprzeciwko. Światło, zapalone tam o zmierzchu, magnetyzowało jej wzrok. Pełna blasku, zapominała, że u niej w pokoju ciemno i dziwiła się, odwróciwszy głowę, nie mogąc poznać wchodzących osób. Panna Nana odciągała ją od szyb balkonu, mówiąc: „już późno; czas się ubierać!“

Światło, zalewające wzrok, gasło, wszystkie pieszczone obrazy znikały; rzeczywistość wychylała twarz, pełną ohydy, z po za różu, bielidła i balowych sukien, które kładła na siebie...

* *
*

Nastąpiły chłodne dnie jesienne.

Julka przestała wychodzić z domu zupełnie. Do południa wyglądała przez okno na ulicę, śledząc przechodniów; od południa stawała przed oszklonemi drzwiami balkonu i, oparłszy twarz o szyby, patrzyła wprost przed siebie aż do wieczora.

Po jednej z hałaśliwych uczt u panny Nany, które się przeciągały do późnej nocy, nie mogła zasnąć. Dusiło ją powietrze, którem oddychała. Czuła w piersiach ból i drażniące kłucie. Wstała nad ranem i, minąwszy na palcach parę pokojów, zatrzymała się w jednym z nich, zaglądając przez okno do mieszkania sąsiadów z przeciwka.

Pomimo wczesnej godziny zaczęto się tam poruszać. Pani sama chodziła po pokoju z dzieckiem na ręku. Małe musiało krzyczeć, gdyż matka nosiła je bardzo długo, pieszcząc, kołysząc i gładząc po twarzy. Niańki nie było widać: może ją oddalono...

Zarzuciła na siebie suknię i chustkę. W domu wszyscy spali: przez kuchnię zeszła na dół; po chwili była już na pierwszem piętrze naprzeciwko i zadzwoniła. Otworzył jej młody małżonek, tylko co zbudzony, w szlafroku, z nabrzmiałemi jeszcze ze snu powiekami.

Zobaczywszy ją, zmierzył od stóp do głowy i zapytał szorstko: „czego sobie życzy?“

— Zgodziłabym się do dziecka, jeżeli niańka odeszła.

Zatrzasnął szybko drzwi, nie puściwszy jej nawet jednym krokiem za próg mieszkania. Słychać było, jak zasuwając rygiel, wołał przez zaciśnięte zęby: „do policyi ją odstawię, jeżeli się osmieli jeszcze raz tu zadzwonić... waryatka!“

Wróciła do siebie i od tej pory przestała patrzeć w weneckie okno. Wpadła w dawne zniechęcenie. Życie ciążyło jej napowrót, jak sen przerywany. Leżała całymi dniami na łóżku, słuchając wycia jesiennego wiatru, wciskającego się przez szpary drzwi i okien, lub goniąc wzrokiem mgłę, pędzącą nad dachami. Gdy ją wyciągano

kłony bijąc. Bo często przechodziły te kawałki w ręce niewiernych, w ręce żydowskie, żeby było o czem żyć i w czem chodzić. Kiedy przechodził przez most na Berezynie, szedł za furgonem dzwoniąc i wołając: „św. Jan z Kompostelli, z drogi, na bok!“ I wyśpiewywał antyfony i *veni creator* do św. Jana z Kompostelli. I tak zajechał w Sandomierskie, gdzie się rodzili i umierali jego ojciec i praojciec, gdzie się i on rodził i gdzie chciał umrzeć. Wszyscy go znali i na ulicy wołali: „Jasiu, gdzie podziałeś swego Jasia?“ Cesarzowicz Konstanty, naczelny wódz wojska polskiego, lubił wiedzieć o wszystkiem i o każdym. Zdybawszy go na Krakowskiem przedmieściu, przebranego już po cywilnemu, zapytał o św. Jana z Kompostelli.

„Wasza cesarzewiczowska Mość, żeby nie być skną i samolubem, Jasia popiłowałem na kawałeczki, na relikwie i za te relikwie kupiłem porządny mająteczek, a teraz ostatnią głowę przywiozłem na manelo dla żony.“ „Oj Jasiu, Jasiu, przepadniecie obydwa (odpowiedział Cesarzowicz) za głową świętego pójdzie i twoja ułańska głowa—bądź mi zdrów.“ A cztery wiackie klusaki pomknęły z powozem dziwnego turkotu, który, kiedy żołnierz polski, kiedy Warszawianin cywilny zasłyszał, jeden drugiemu powtarzał: jedzie, jedzie...“

Sylwetki innych ułanów: Kwaśniarskiego, zwycięzcy z pod Smoleńska, albo Kozietulskiego, bohatera z pod Samosiery, „tancerza mazurka cesarzowej Józefiny,“ a nawet Branickiego wszystkie żyją, poruszają się—a mają krew nie wodę w żyłach...

Druga gawęda „o kawaleryi“ ma już trochę strategiczno-taktycznej dydaktyki, cennej dla specyalistów; dla nas jednak, którzyśmy nie wąchali prochu—za uczona. Dowodzi w niej autor „możności dobrego bicia się kawaleryi w jeden szereg.“ Przykłady zaś przytacza z wojny 1830 r., w której brał czynny udział pod dowództwem Karola Rożyckiego. Zatem idzie opowiadanie z czasów kozaczyzny o „trzech Janach“ (Wyhowskim, Brzuchowieckim i Puszkarze), dostojnikach starszyzny kozaczej. Pierwszy dzierżył pieczęć kozacką i był wielkim pisarzem kozackiego „kosza,“ całej Ukrainy po obu brzegach Dniepru. Drugi był asawułą przy hetmanie Chmielnickim. Trzeci pułkownikiem połtawskiego pułku. Wszyscy trzej tłukli Rzeczpospolitą „na łój“ i zalewali sadła za skórę Jezuitom. Wśród tych postaci, ogorzałych od słońca i namiętności, świeci jasna, idealna „gwiazda Ukrainy“ (Natalka Hulanicka) z całym urokiem romantyzmu, a po nad nimi unosi się opromieniony aureolą wielki Hetman Ukrainy i „wielki mąż stanu nietylko Kozaczyzny, ale Rusi całej“ (Bohdan Chmielnicki).

Charakterystyka „Ikbali,“ odaliski kozackiej, jest trochę wyidealizowana, ale zaloty trzech Straszynów, ojca, syna i wnuka, butnych szlachciców, do tej rezolutnej dziewczyny—arcypocieszne, a obraz niesfornej rzeszy emigrantów i wierny i trzeźwy. W opowiadaniu „O jeźdźcach i koniach“ widać znowu wielką znajomość i taktyki wojennej i jazdy tureckiej, kozackiej, rosyjskiej a nawet pruskiej, a w opisach różnych ras koni idzie na równi z bystrą, szczegółową obserwacyą jakieś junacko-fantastyczne patrzenie na te „kochanki.“ Klacz jasno-gniada z gwiazdą na czole, zwana „palcem bożym,“ na której odbył Sadyk-basza całą kampanię krymską i wszystkie służby od 1853—70 a za którą zapłacono 50,000 piastrów, była czczoną jak bogini. Starzy muzułmanie zatrzymywali baszę i z największem uszanowaniem prosili o pozwolenie ucałowania kopyt i popieszczenia nozdrzy „błogosławionej Giuzelli“ (pięknej). Druga klacz „Boratli,“ arabka, wielka kokietka o dziwnie pięknym składzie ciała, za którą dawali anglicy 100,000 piastrów, była łagodną i ognistą zarazem. Gdy ją syn Czajkowskiego użył „po europejsku“ szpicrutą i ostrogami, wpadła w szał nerwowy, poniosła jeźdźca wprost na mur a sama zabiła się na miejscu. „Konie arabskie Boratli są tak jak stara szlachta herbowa—prędzej czy później krew zagada po swojemu.“ Trzecia klacz Czajkowskiego, szlachcianka „z nieprawego łoża“—to pierwsza i najulubieńsza kochanka. „A tak chodziła wszystkimi ruchami, takie miała zwroty, takie posłuszeństwo jakby wyszła z mistrzowskiej nauki pułkownika Oberdyńskiego, albo z akademii Olszuńskiej.“ Na niej wyprowadził autor swoich powstańców z Halczyna, na niej odbył podróż przez Niemcy, Szwajcaryę i Francyę—do samego Paryża, nigdzie nie wsiadając do powozu, ani do wagonu. Kiedy nie stało grosza złamanego, tę ukochaną towarzyszkę wojennego życia, porąbaną, pokłutą i postrzeloną sprzedał za dwa tysiące franków margrabiemu de Barol (z Paryża) który nazajutrz przyniósł mu trzeci tysiąc z oświadczeniem, że „po rozpatrzeniu się w niej czuje się w świętym obowiązku dodatku.“ Z rycerskim zapałem broni tu autor kawaleryi, dając jej pierwszeństwo przed piechotą. Przez wydoskonalenie kawaleryi, stracą, zdaniem jego, wojny charakter rzezi i przybiorą cechę rycerską; „odżywią prawdę i poetyczną i polityczną dawnych wieków...“ W ostatnim opowiadaniu z czasów hetmana Lacha słynnego „koszowego“ atamana odżył jeszcze duch kozaczyzny zaporoskiej na tle wspaniałej natury stepowej.

Naturalnie tendencyj społecznych politycznych a nawet i naukowych niepodobna podzielić z autorem. Słowianofilstwo tak pojęte wydaje mi się fałszywem (str. 4, 22, 26, 30, 58, 60, 98, 201). Nie będziemy się sprzeczali z przeciwnikiem „braci wyznania mojżeszowego,“ i Jezuitów, nieprzyjacielem epoki machin i wynalazków („dywidendy i parcelacyi“) a zwolennikiem dawnych, lepszych czasów. Zresztą mistrz powieści kozackich należy do epoki Mickiewicza, nie można więc wymagać od niego przejęcia się ideami najnowszego kierunku.

Kompozycyi Czajkowskiego brak miary i jednolitości, z wyjątkiem obrazków wojennych, tych ataków, szturmów—bitew, których jest niezrównanym malarzem. Styl jego malowniczy, język ostry jak cięcie szabli kozaczej, to znów słodki jak pieszczoty huryski. Tu i owdzie tylko daje się czuć pewne przeładowanie i nieokiełznana skłonność do rymów.

Bełza Władysław. **Maryla**, szkic literacko-biograficzny z 5 rycinami i autografem Maryli, we Lwowie, druk E. Winiarza, 1886.

Oceniając wewnętrzną wartość tego szkicu, mielibyśmy prawo poddać go pod skalpel krytyki naukowej, bo taką cechę miały wszystkie rozprawy, opatrzone stemplem tej poważnej i dzielnej niegdyś instytucyi naukowej, nie wyjmując nawet „opowiadań“ historycznych poprzednika i przyjaciela p. Bełzy; wobec tego jednak, że mamy do czynienia z autorem poetą i beletrystą, piszącym głównie dla młodzieży i wogóle dla szerszej publiczności, zniżamy o całą oktawę nasz kamerton recenzyjny i przykładamy do tej pracy miarę popularnego odczytu czy też pogadanki. Żeby jednak autor nie miał do nas żadnego żalu, że go jednem pociągnięciem pióra odsądzamy od godności naukowej, postaramy się wykazać przedewszystkiem, że Maryla p. Bełzy nie ma naukowej wartości.

Szkic nie daje nic nowego, powtarza tylko to, co pisali o Maryli Domeyko, Odyniec, Tretiak i tym podobni poczciwi,

---

wieczorem z pokoju, skarżyła się na osłabienie i na coraz dotkliwszy ból w piersiach.

Po kilku miesiącach ktoś, wszedłszy do niej niespodziewanie, zastał ją zemdloną na ziemi przed kanapą. Kiedy ją chciano podnieść i otrzeźwić, krew strumieniem rzuciła jej się do ust. Zaraz tego samego dnia odstawiono ją do szpitala trzęsącą, odkrytą dorożką.

Siostry umieściły ją obok chorej, do której codzień w porze przyjęć przychodził wysoki blady mężczyzna o ciemnych włosach i zmęczonych czarnych oczach. Julce zdawało się, że to ten, którego rysów nawet nie zapamiętała, a któremu dotąd była wierna, jak najczulsza kochanka. Silne, namiętne uczucie dla nieznajomego rosło w jej piersiach. Gdy stał blisko niej, patrzyła nań pałającemi źrenicami i szeptała wyrazy, których nie mógł usłyszeć; gdy odchodził, wyciągała za nim ręce; płakała, jeżeli się spóźnił, dostawała gorączki, jeżeli którego dnia nie przyszedł i majaczyła przez całą noc... Nieraz zdawało jej się wśród błędnych przywidzeń, że jest wewnątrz dużego, widnego pokoju, gdzie przez szyby weneckiego okna czyjś wzrok ją śledził.

Zakonnica ścierała pot z jej czoła, a ona śniła, że wraca ze spaceru, opluskana jesiennym deszczem i zmęczona siada w fotelu, a młody wysoki mężczyzna ściąga z nóg jej buciki, klęcząc przed nią, i nakłada na nie czerwone pantofelki, całując każdy palec stopy. Pochylona nad nim i odurzona zapachem jego włosów, przyciska go do siebie...

Rano marzenia pierzchały.

Otworzywszy oczy przytomnie i usiadłszy na łóżku, czuła, jak coś ciepłego podnosi się z piersi do gardła, rozlewając w ustach przykry, słonawy smak.

Kaszląc, spluwała krew.

W myślach jej robiło się ciemno. Siły uciekały. Pod powiekami, jak mroczki, zaczynały skakać żółto, pomarszczone twarze szpitalnych chorych.

Padała na poduszki całym ciężarem wyczerpanego organizmu i leżała godzinami bez poruszenia, ze wzrokiem, utkwionym w progi drzwi wchodowych.

Na kilka dni przed skonem, uczuła się zdrowszą. Doktór powiedział jej, że wstanie niedługo. Gorączkowo zaczęła wypytywać siostrę Maryę, jak trzeba szukać pracy na utrzymanie?

Nie śpiąc po nocach, wśród jęku chorych, w dusznem, zakażonem, szpitalnem powietrzu marzyła o nowem życiu, które miało zetrzeć piętno hańby i upadku z jej czoła...

Któregoś rana doznała dziwnego niepokoju od chwili, kiedy tylko otworzyła oczy po parogodzinnej drzemce.

Błagała zakonnice, żeby kazały ją przenieść do innego łóżka, i wskazywała to, które stało najbliżej drzwi, a które właśnie było puste.

Gdy spełniono jej życzenie, ucałowała siostry po rękach i, przewrócona na bok, nadsłuchiwała, czy kto nie idzie.

Koło południa rozległy się na korytarzu kroki odwiedzających. Wysoki, blady mężczyzna otworzył drzwi ostrożnie i stanął na progu.

Spostrzegłszy go, usiadła sama, kiwając nań ręką i mówiąc coś po cichu.

Nie widział jej nawet.

Nagle wyciągnęła się, jak struna, i padła na poduszki z przerwanym w połowie szeptem.

Po kwadransie serce jej przestało bić zupełnie...

C. Walewska.

ale nienaukowi ludzie. Nieumiejętność i brak dobrej metody uderza głównie w użytkowaniu ich najsprzeczniejszych zdań i poglądów na Marylę. Nadto przyjmuje autor na wiarę dowolny wiersz z „Ballad“ lub z „Dziadów“ i tę fantastyczną poezyę przenosi na rzeczywistość. Z tego wynika, że Maryla i jej stosunek do Mickiewicza przedstawia się w rozprawie p. B. tak samo prawie, jak w „Dziadach.“ Rezultat z gruntu fałszywy. „Cała czwarta część Dziadów — powiada p. B. — jest *wiernem* odzwierciedleniem miotających poetą uczuć, powtarzając za p. Tretiakiem z szowinizmem, że utwór ten jest najwspanialszym wyrazem miłości „w poezyi całego świata...“ A czas by już było ochłonąć z tych filareckich zapałów i przypatrzyć się trzeźwiej, choćby tylko reminiscencyom narodowego wieszcza z Goethego i Schillera—wówczas spadłaby łuska z oczu i mówionoby nietyle o *wiernem* odbiciu rzeczywistości, ile o zależności „Dziadów“ od „Werthera“ itp.—Raz wyspowiadał się sam p. B. z braku krytycznego zmysłu. Opisując pierwsze poznanie Maryli przez Mickiewicza w Tuhanowiczach 1818 r. idzie za opowiadaniem Odyńca w „Listach z podróży“ które dla tego, że się zgadzają z „Panem Tadeuszem“ mają, zdaniem autora, odtwarzać wiernie rzeczywiste zdarzenie. Tymczasem właśnie ta okoliczność świadczy wprost przeciwnie o największej niewiarogodności Odyńca, zabarwiającego prawdę pożyczkami Mickiewiczowskiej muzy i to nie z epoki współczesnej, romantycznej, ale z czasów znacznie późniejszych, emigracyjnych. Mylnie też skupia p. B. wszystkie najgorętsze promienie tej pierwszej miłości poety już do roku 1818, t. j. do pierwszego widzenia Maryli. Z listów Czeczota i Malewskiego, datowanych 1823 r. dowiadujemy się o dopiero co przeszłej pożodze gwałtownych wybuchów uczucia. Że się też p. B. nie poznał na wartości opowiadania Domeyki o Maryli (w *Przegl. lwow.* 1872 IV 36 i n.). Pobożny staruszek, piszący na drugiej kuli ziemskiej w pół wieku po wypadkach „na Switeziu błoniach,“ popełnia rażące błędy—jak np. ten, że Mickiewicz nie widział już nigdy Maryli po ślubie! Tymczasem do najpewniejszych i aż do znudzenia powtarzanych szczegółów należy właśnie ten, że Mickiewicz nie zrywa po ślubie Maryli dawnych stosunków, ale odwiedza ją i koresponduje z nią nadal. Z tego faktu możnaby już było ocenić stopień wiarogodności opowiadania Domeyki, spadającego zdaniem mojem, jeszcze niżej od „Listów z podróży“ Odyńca. Tyle wystarczy dla kompetentnych aby dowieść, że nie mamy tu do czynienia z pracą krytyczną, naukową.

Ale uważając nawet szkic p. B. jako rzecz popularną, to z naszego, stanowiska—musimy powiedzieć otwarcie — strawa ta jest nie zdrową dla szerszej publiczności. Główną tego przyczyną jest okoliczność, która w oczach naszych konserwatystów uchodzi za największą zaletę, niejako za pierwsze przykazanie tego rodzaju książek. Mam tu na myśli idealizowanie przedmiotu. Portret Maryli „idealnego“ pędzla p. B. jest niestety wzorowym okazem takiego pojmowania rzeczy. Wychodząc z założenia starej szkoły literatów, ażeby nie zdzierać aureoli z czoła naszych „idealnych“ postaci, przedstawia nam p. B. Marylę w iście tęczowych kolorach, całą skąpaną w promieniach słonecznych, zawieszoną gdzieś w eterycznych sferach... Zacznijmy od jej zewnętrznego wyglądu. „Postać jej okazywała wdzięk i powab—kibić miała kształtną i powiewną—twarz sympatyczną i pełną wyrazu. W jej dużych, błękitnych oczach malowała się cała głębia uczucia i żywości imaginacyi.“ A jeżeli Maryla odznaczała się takimi „pociągającymi powabami ciała“ (w istocie nie była wcale ładną) to „cóż dopiero mówić o przymiotach jej duszy i o zaletach serca.“ Jest ona „pełną tych darów duchowych które są cechą podnioślejszego umysłu — starannie wykształcona łączy w sobie obok znajomości ojczystej literatury, tudzież języka włoskiego i francuskiego wielką biegłość i zamiłowanie w muzyce i śpiewie“ itd. a „wszystkie te zalety umysłowe zarówno jak fizyczne tak harmonijnie w niej się zlewały“ że niczem były idee harmonijne Platońskie... Ona naturalnie „jedyna tylko wśród całego swego otoczenia przeczuła kim miał być w przyszłości Mickiewicz,“ bo pytam, jakby to być mogło, aby Maryla nie była jasnowidzącą... A jaka to była rozumna kochanka! „Mickiewicz odbierał z jej rąk książkową naukę (oraz) naukę życia i świata.“ Słuchajcie: Mickiewicz, który studyował wtedy Kanta, Schellinga, Fichtego, chodził do szkoły u tej prostej szlachcianeczki z Tuhanowicz! Pocieszne! „Maryla była potem najlepszą żoną, najtkliwszą synową“ a nawet jej postępowanie z Mickiewiczem, które bądź co bądź nie zasługuje na pochwałę, bo przecież, okłamała poetę, oddała swą rękę Puttkamerowi, nawet to postępowanie nazywa p. B. „nieskazitelnem“ i nie widzi „nic, coby osłabiało w nas uczucie szacunku dla niej.“ Widocznie prześwieca jeszcze autorowi pruchno ideałów kobiety, potulnej jak owieczka, i zgadzającej się z wolą nieba i—papy. P. B., skądinąd surowy moralista, daje jej zupełne rozgrzeszenie: „Maryla nie ma sobie nic do wyrzucenia.“

Widocznie można przewyższyć w idealizowaniu samego Odyńca, a dzieła tego dokazał p. B. Odyniec przedstawia Marylę jako sentymentalistkę, „pozującą na heroinę, która z swej miłości do poety ofiarę poniosła,“ „idealizującą samą siebie w we własnych swoich marzeniach,“ po prostu kobietę egzaltowaną, z czasów pani Genlis i Cottin. Portret ten, z natury zdjęty, oprócz filaretów dla których była ona wcieleniem miłości „promienkowej,“ także potwierdza świadectwo własnego jej syna Stanisława hr. Puttkamera, który radby chyba w najlepszem postawić świetle pamięć swej matki, a który uważa wizerunek skreślony przez Odyńca za zupełnie wierny. Że Maryla była sentymentalną romantyczką, czemu się sprzeciwia p. B., tego dowodzą także urywki z jej listów, umieszczonych w korespondencyi Mickiewicza; w jednym z nich prosi go, aby poprawił Wertera i „nadał mu *więcej sentymentalności...*“ Ten prototyp sentymentalistów był dla niej za mało sentymentalnym! W przeciwieństwie do tego widzi p. B. w tej czułostkowej, marzycielskiej dziewczynie, która nigdy nie wyszła z tęczowej mgły swej rozmarzonej wyobraźni, kobietę „głęboko czującą“ i powiada, że „wszystkie jej postępki cechowała szczera prostota i prawda — i to w niej właśnie chwytało za serce.“ Owe żałobne kamienie z godłami: „straconym złudzeniom,“ „zawiedzionej nadziei“ itp. — to nie są świadectwa jej nigdy nie zagasłej miłości, ale właśnie typowe okazy czułostkowości owych czasów. O stosunku Mickiewicza do Maryli nie można zresztą wiele powiedzieć. Poeta nie spowiadał się przed nikim ze swych uczuć. Odyniec twierdzi, że kiedy w liście napomknął tylko o Maryli, ta wzmianka tak boleśnie dotknęła Mickiewicza, że na dłuższy czas zerwał wszelką z nim korespondencyę, a Domeyko pisze, że na samo wspomnienie o tamtych czasach bladł i rumienił się i „ni on, ni kto inny przed nim nie wymówili imię Maryli.“ Wobec tego zadziwiać musi wielomowność i dokładność informacyj p. B. Umie on powiadomić, o czem rozmawiali z sobą kochankowie, którędy chadzali na przechadzkę, nawet co czytali i kiedy ona spuściła oczęta wstydliwie... bo jakżeż można sobie wyobrazić dziewczynę nie spuszczającą skromnie swych błękitnych oczek... Stosunek Maryli do Puttkamera, którego, jak powszechnie podają, była przyjaciółką tylko, ale nie małżonką — (to także z romantyczno-sentymentalnej miłości do Mickiewicza) uważa surowy Katon literacki za „grzeszny.“ Wyznaję, że nie rozumiem tego grzechu a zarazem pocieszam p. B., że wobec słów syna Maryli, twierdzącego, że matka jego *„na odbycie pierwszej słabości 1822* wybrała się do Wilna,“ snać stosunek ten „grzeszny“ nie długo trwał; dowiadujemy się bowiem z tego samego listu p. hr. Puttkamera do p. Bełzy, że Maryla urodzona w Wilnie 24 grudnia 1799, w Tuhanowiczach weszła w śluby małżeńskie z Puttkamerem 2 lutego 1821 (umarła 27 grudnia, 1863 pochowana w Bieniakowie)

O ostatnich tych datach dowiadujemy się po raz pierwszy z książki p. Bełzy a właściwie z listu hr. Puttkamera, który podaje kilka ważniejszych szczegółów. List ten Puttkamera z 1885 r. z Wilna tudzież autograf listu Maryli z 1851 r. do swej przyszłej synowej oraz widoki z okolic Świteziu, zdjęte przez prof. Dybowskiego, mają niezaprzeczoną wartość. Co do portretu Maryli, to oryginał jego, darowany przez Wł. Mickiewicza do muzeum krakowskiego, zdaje się nie ulegać wątpliwości ale wykonanie na cynku przez fotografa Trzemeskiego — okropne!

W końcu wypada podnieść pewne, niezaprzeczone zalety dziełka p. Bełzy. Czyta się ono z wielkiem zajęciem, bo przemawia językiem czystym i płynnym do serca i wyobraźni czytelnika; widać też, że autor wyzyskał, o ile mógł, wszystkie źródła do swej pracy a wspomnianymi dodatkami listów przyczynił się do rozjaśnienia kilku najważniejszych dat z życia Maryli.

Henryk Biegeleisen.

Prasa peryodyczna.

Biblioteka warszawska (II półrocze, 1885 r.).

Szczupłe rozmiary sprawozdania nie pozwalają nam bodaj pobieżnie nawet ocenić wszystkich artykułów, zamieszczonych w sześciu zeszytach *Biblioteki* za ubiegłe półrocze. Poprzestać więc musimy tylko na zaznaczeniu prac wybitniejszych. Liczebnie najpoważniej przedstawiają się artykuły historyczne, bądź to odnoszące się do dziejów politycznych, bądź też historyczno-literackie i geograficzne.

„Odsiecz Wiednia“ przez L. Chrzanowskiego jest właściwie opisem zdarzeń wojny 1683 r., skreślonym na podstawie źródeł współczesnych, skrzętnie zebranych i zbadanych, ale wyzyskanych dosyć jednostronnie, bo wyłącznie prawie z wojskowego punktu widzenia. Ponieważ jednak autor taki cel z góry postawił sobie, nie możemy robić mu z tego względu zarzutu, owszem, prace z dziedziny historyi wojskowości w Polsce bardzo są pożądane; wątpimy tylko czy p. Chrzanowski jest dosyć kompetentnym w tej sprawie.

Jak ten, tak i inne artykuły działu historycznego są właściwie tylko zbiorem materyałów, monografiami szczegółowemi, cennemi nieraz dla badaczów naszej przeszłości, ale nie mogącemi zainteresować szerszego koła. Przepełnienie prac tych szczegółami nie ugrupowanymi według pewnego planu czyni wykład suchym, bezbarwnym i uciążliwym w czytaniu. Nie tyle tu może winą jest wybór przedmiotu, ile brak talentu pisarskiego. Ustęp z dziejów krytyki polskiej przed 1830 rokiem p. t. „Towarzystwo Iksów“ mógłby być bardzo ciekawym, gdyby autor potrafił uwydatnić rysy znamienne ówczesnych stronnictw literackich, gdyby dał nam

żywą charakterystykę czasu i ludzi, ale w obecnej formie praca ta jest tylko surowym materyałem dla historyka literatury.

Do takich prac źródłowych należy także skreślony przez p. K. Waliszewskiego życiorys Maryi Mantuańskiej, późniejszej królowej Maryi Ludwiki, a raczej przyczynek do jej biografii. Autor korzystał wyłącznie z korespondencyj i innych dokumentów odszukanych w archiwach francuskich. Sądzi on Maryę Ludwikę dosyć surowo, zgadzając się w charakterystyce jej z p. Plebańskim. Artykuły geograficzno-historyczne—jak np. opis Tykocina są sumiennemi monografiami, ale znowu mają wartość tylko dla specyalistów.

Gdyby *Biblioteka warszawska* została wyłącznie pismem historycznem, nie mielibyśmy nic przeciw pomieszczaniu tego rodzaju utworów. Owszem, organ, poświęcony wyłącznie gromadzeniu materyałów do dziejów naszych, byłby bardzo pożądanym i uwolniłby inne wydawnictwa peryodyczne od uciążliwego dla nich balastu. W takim ograniczonym zakresie *Biblioteka* przynosiłaby istotny pożytek, kiedy obecnie, pomimo dobrych chęci, zadania poważnego miesięcznika ogólnego nie spełnia. Redakcya stara się uwzględniać w miarę możności wszystkie działy nauk, poświęca wiele szpalt rzeczom społecznym, ale w treści pisma nie ma organicznego związku, bo np. artykuły nauk przyrodniczych zjawiają się tylko przypadkowo; niema żadnej łączności z chwilą bieżącą nie tylko w dziedzinie spraw społecznych, ale i w rzeczach naukowych, albo spójność jest bardzo luźną, doryweczą. Od czasu do czasu *Biblioteka* pomieszcza prace bardzo gruntowne, poważne, które jednak tak dobrze mogły być pomieszczone przed kilkoma laty, jak bez szkody o tyleż lat mogłyby się spóźnić.

W dziale filozofii zwracamy uwagę na artykuł p. A. Raciborskiego, docenta uniwersytetu lwowskiego: „Pojęcie przyczynowości w systemie logiki dedukcyjnej i indukcyjnej“ J. St. Milla. Stanowisko autora określiliśmy już poprzednio, jest on eklektykiem nowszej formacyi, pszczółką, która zbiera miód z kwiatów różnych systemów filozoficznych, ale pszczółką „pracowitą.“ Specyalista mógłby znaleść w poglądach i krytyce p. Raciborskiego wiele stron słabych, które rzucają się w oczy nawet zwyczajnemu czytelnikowi, ale przyznać mu należy również sumienność i powagę w traktowaniu przedmiotu. Wątpię tylko, czy w gronie czytelników *Biblioteki* znalazło się bodaj pięciu sprawiedliwych, których nie odstraszyła treść i sposób wykładu autora.

„Obraz statystyczny szkół wyższych w Prusiech“ p. Aleksandra Chudzińskiego zasługuje na szczegółowe zaznaczenie. Autor nadał pracy swej niewłaściwy tytuł, który zmniejsza jej wartość, jest bowiem ona nietylko obrazem statystycznym, ale i poważną rozprawą o pruskich stosunkach szkolnych. Uwagi p. Chudzińskiego znaleść mogą zastosowanie i u nas, albowiem szkoły nasze urządzone są, jak wiadomo, według wzorów niemieckich. Szkoły wyższe pruskie, według naszej terminologii, nazywają się średniemi. Dzielą się one, podobnie na gimnazya i progimnazya klasyczne i realne. W 1883 r. liczono w Prusach klasycznych 289 z 92,954 uczniami wyższych realnych 102 z 34,785, i niższych realnych 123 z 22,404 uczących się, a więc znacznie więcej, aniżeli w całem państwie rosyjskiem. Ilość zakładów naukowych wzrasta corocznie w stosunku daleko większym, aniżeli ludność.

Przyjrzyjmy się teraz ciemnym stronom szkolnictwa pruskiego. Na pierwszem miejscu postawić należy przeniesienie do szkoły walki religijnej i narodowej. Okoliczność ta, według autora, objaśnia, dla czego udział katolików w uczęszczaniu do szkół jest znacznie mniejszy, aniżeli ich stosunek procentowy w ogólnej sumie ludności, szczególniej zaś w prowincyach polskich, gdzie ważną rolę grają również względy językowe i ekonomiczne, polacy bowiem należą przeważnie tylko do klas ubogich ludności. Stan nauczycielski uposażony bardzo skromnie i zależny w karyerze od kaprysu przełożonych, spełnia obowiązki swoje skrupulatnie, ale czysto mechanicznie lub też odznacza się służalstwem względem władzy. Jeżeli szkoły pruskie cieszą się jeszcze dobrą sławą, to dla tego, że wszędzie stan szkolnictwa nie jest bynajmniej kwitnącym, oraz dla tego, że dawno wyrobiona rutyna wynagradza choć w części istniejące braki.

Państwo popiera szkołę klasyczną, która korzysta z wielu przywilejów, w literaturze wszakże pedagogicznej coraz częściej podnoszą się głosy przeciw jednostronności tego kierunku wychowania. Opinia publiczna bardziej przychylną jest dla zakładów realnych, których większość utrzymują na swój koszt miasta i gminy. Ale ponieważ tylko gimnazyum daje swym wychowańcom możność pobierania nauki uniwersyteckiej, szkoła klasyczna posiada nadmiar uczniów. Środek, jakiego użyto dla powstrzymania zbytniego napływu młodzieży, mianowicie podwyższenie opłat szkolnych, słusznie karci autor bardzo ostro. Wysokie wpisy utrudniają ludziom ubogim nabywanie wiedzy i powiększają tylko przepaść między klasami uprzywilejowanemi i pracującemi.

W końcu p. Ch. zastanawia się nad upadkiem moralności wpośród młodzieży niemieckiej. Smutny ten objaw nie tyle zależy od wewnętrznych stosunków szkoły, ile od wpływów zewnętrznych—ogólnego rozstroju moralności publicznej. P. Chudziński przytacza parę ciekawych cyfr statystycznych o wzroście samobójstw, których w pięcioleciu 1869—1874 liczono rocznie 2,954, w 1877—1881 zaś—4,659, liczby cięższych zbrodni która w ciągu 10-lecia powiększyła się o 228%, podówczas gdy wzrost ludności wynosił tylko 10.72%; ilości urodzeń nieprawych itd. Ciekawe są również dane o wzmagającem się użyciu napojów wyskokowych i przerażającym wzroście liczby obłąkanych.

Na tle tem uwydatnia autor rosnące zepsucie obyczajów młodzieży niemieckiej, nie chce jednak uogólniać zebranych szczegółów. Obszerniej tylko mówi o tajnych stowarzyszeniach uczniów gimnazyalnych, które nie mają wszakże charakteru spiskowego. Są one potworną karykaturą stowarzyszeń burszowskich, statuty ich zalecają pijaństwo, kłamstwo i pogardę dla niečzłonków. Związki podobne bez żadnych idelniejszych celów istnieją we wszystkich prawie gimnazyach klasycznych, natomiast pomiędzy uczniami szkół realnych niedostrzeżono niczego podobnego.

„Kultura Indów w epoce wedyjskiej“ przez p. J. Hanusza jest właściwie sprawozdaniem z dzieła niemieckiego H. Zimmera *Altindisches Leben*. Ale autor, gruntowny znawca sanskrytu i literatury indyjskiej, dodał wiele własnych spostrzeżeń. Praca to poważna i ciekawa nietylko dla specyalistów; szkoda tylko, że autor ogólnikowo bardzo mówi o stosunkach społecznych indusów w owej epoce—np. nie znajdujemy wcale wiadomości o gminie indyjskiej, która przetrwała do naszych czasów. Natomiast z tego, co p. Hanusz mówi, nieoznajmiony z przedmiotem czytelnik wyciągnąć może fałszywy zupełnie wniosek, że indywidualizm był cechą charakterystyczną stosunków ówczesnych.

P. Teofil Ziemba pomieścił niby to studyum literacko-biograficzne p. t. „Mickiewicz i Ankwiczówna.“ W ostatnich czasach prac tego rodzaju namnożyło się bez liku w naszem piśmiennictwie. Autorowie, którzy nie mają ani jednej własnej myśli, krytycy, którzy nie potrafią zrobić jednego oryginalnego spostrzeżenia, zbierają wiadomości dawno już ogłoszone, odgrzewają rzeczy dawno znane i w ten sposób piszą nietylko artykuły, ale nawet całe dzieła. Kompilacyę p. Ziemby zaznaczamy też tylko jako objaw charakterystyczny, nie zaś dla jej wartości bardzo wątpliwej.

Oprócz artykułu „O cholerze“ dr. W. Chodeckiego i „Sprawozdania z Wystawy“ jednym łącznikiem *Biblioteki* z chwilą bieżącą są kroniki, a zwłaszcza sprawozdania p. t. „Z ekonomiki,“ na które zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę. Autor ich rzadko wypowiada własne zdanie, a jeżeli zdarzy się, że je wygłosi, to nie zawiera ono nigdy poglądów oryginalnych. Ale za to p. Fendi śledzi pilnie postępy nauki i obeznany jest z literaturą ekonomiczną. Najczęściej zabiera on głos w sprawach praktycznych i nawet te pytania, które nadają się do naukowego traktowania—sprowadza na grunt realny. Każda kronika poświęcona jest zwykle rzeczom, mającym ścisły związek z sobą, w jednej p. Fendi mówi o gorzelnictwie, w drugiej o przesileniu rolnem itd. Najciekawszą jednak jest kronika lipcowa, w której autor powstaje przeciw t. z. orgii celnej. Protekcyonizm jest dziś u nas w modzie i, o ile pamiętamy, nikt dotychczas nie wystąpił poważnie z zarzutami przeciw nadużyciom polityki celnej. P. Fendi stoi na gruncie szkoły realnej, to jest przyznaje konieczność ceł ochronnych dla narodów słabych ekonomicznie, ale wykazuje szkodliwość przesady w tym kierunku. Oba główne argumenty protekcyonistów: potrzebę wprowadzenia odpowiednich warunkom miejscowym gałęzi przemysłu i dostarczenia zajęcia siłom roboczym—autor uznaje, ale z pewnemi, słusznemi najzupełniej zastrzeżeniami. Zresztą nie mówi on tu niczego nowego, ale jak sam przyznaje powtarza ważniejsze *pro i contra* w sprawie ceł ochronnych. Ciekawsze są daleko cyfry, którymi popiera swe wywody. Cło od maszyn i narzędzi np. obłożyło rolnictwo nasze nowym ciężarem 800—900 rs. rocznie. Autor słusznie zwraca uwagę, że protekcya celna utrwala rutynę w przemyśle, tamuje jego rozwój techniczny i przytacza z tego powodu kilka wymownych przykładów. Krótka wiadomość o zastosowaniu w praktyce teoryi socyalistycznych, czyli właściwie o t. z. *Le familistere de Guise*, stworzonym przez filantropa—przedsiębiorcę p. Godina w departamencie Aisne we Francyi, nie zaspakaja ciekawości czytelnika, który chciałby poznać ten *model* ustroju przyszłego.

Dział krytyczny w *Bibliotece* zapełniają wyłącznie prawie rozbiory dzieł historycznych lub też prac mających związek pośredni z historyą; wyłączność ta panuje również i w kronice wiadomości literackich, prowadzonej starannie, ale zbyt jednostronnie.

N.

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN.

O zasobach naukowego piśmiennictwa Europy zachodniej ten tylko może mieć wyobrażenie, kto przypadkiem lub z powołania obejrzy którąkolwiek z uprawianych tam gałązek wiedzy. Podczas gdy nasza młodzież niema ani jednego — dosłownie ani jednego — podręcznika botaniki, któryby odpowiadał dzisiejszym wymaganiom nauki, kiedy u nas ci nawet, co życie roślin poznaćby chcieli, bez pomocy obcych języków obyć się nie mogą, anglicy np. — gdyż o jednym z nich mówić tu mamy — nietylko księgozbiory szkół swoich i uniwersytetów zaopatrzyli zbytkownie, ale i szeroki ogół w zaczarowane koło badań i zwycięstw nauki wciągnęli.

Pracę udostępnienia jej wyników podjął tam liczny zastęp uczonych i profesorów, dla których rozprawa doktorska bywa zawsze pierwszym tylko szczeblem, nie zaś ostatnim wieńcem sławy... Imiona takie jak: Huxleya, Darwina, Tyndalla, E. B. Tylora, Lubocka są nietylko ozdobą roczników akademij, ale i uciechą matek, wychowujących młode pokolenia, i rozkoszą uczącej się młodzieży.

W gronie angielskich krzewicieli przyrodoznawstwa J. E. Taylor niepoślednie zajmuje miejsce. Wszystkie dzieła tego pisarza odznaczają się wielką dostępnością, niepospolicie barwnym, niekiedy poetycznym stylem, głębokiem przejęciem się zasadami teoryi rozwoju, niezmiernem bogactwem treści. Najbardziej wszakże znamienną cechą Taylora jest jego „antropomorficzne“ stanowisko — w stosunku do świata roślin. Czytelnicy jego mają do czynienia nie z suchym szeregiem faktów, nawet nie z różnobarwną rzeszą spokojnie rosnących lub kwitnących ziół i krzewów, ale z całym tłumem istot ożywionych i żądnych życia, z całym zastępem bojowników, walczących lub zwalczonych, zwycięskich albo upadłych; widzimy tam podstęp i zdradę, ambitne pragnienia i zawiedzione nadzieje, bohaterstwo i poświęcenie, rozpacz i nędzę, przechowywanie wiekowej tradycyi i odstępstwo od niej, wysoki altruizm i posuwające się do zbrodni sobkowstwo. Ten bezmiar życia, jakim autor potrafił dzieła swe natchnąć, zapewnił im szerokie powodzenie. To też żadna z uprzednich prac Taylora nie ukazywała się w Anglii w jednem tylko wydaniu, niektóre zaś doczekały się aż *pięciu*.

Książka, ogłoszona obecnie nakładem redakcyi *Prawdy*, należy do ostatnich jego utworów. Treścią i formą wiąże się ono najbardziej z duchem i dążnością pisarza, którego głównym celem jest uprzystępnienie wykształconemu ogółowi nowych zdobyczy botaniki, pozyskanie dla tej nauki stronników nawet w takich sferach, którym okoliczności nie pozwalają na systematyczne badania roślinoznawcze i wykorzenienie z mas przestarzałych poglądów teleologicznych.

Myliłby się ten, ktoby sądził, iż w „Zmyślności i moralności roślin“ znajdzie systematyczny podręcznik: jest to zobrazowanie stosunków *zewnętrznych* świata roślinnego do jego otoczenia i *wewnętrznych* — jednego osobnika lub gatunku roślinnego — do innych. Takie nagłówki poszczególnych rozdziałów jak: „dyplomacya kwiatów,“ „przebiegłość,“ „obrona nie zaczepka,“ „współdziałalność,“ „społeczne i państwowe gospodarstwo roślin,“ „ubóstwo i bankructwo“ itp. mogą rzucić jaskrawe światło nietylko na samą treść tego dzieła, ale i na sposób jej obrobienia. Opisy wewnętrznej, drobnowidzowej budowy roślin stanowią bardzo nieznaczną część pracy, jakkolwiek, ulegając wymaganiom profanów, musiał autor poświęcić kilka stronic na wyłożenie najbardziej zasadniczych wiadomości. Po tym wstępie wprowadza nas już od razu w ruchliwy i pełny życia świat tych istot, na które przywykliśmy patrzeć, jak na obojętne, nieczułe i nie zmieniające się, albo jak na bezbronne i podlegające bez szemrania wszelkim napaściom królestwa zwierzęcego i ludzkiego rodzaju. Po przeczytaniu książki Taylora inaczej patrzymy na rośliny, na ich koleje i losy. Każdy, bodajby drobny szczegół roślinnego ustroju, każdy jakiś włosek lub gruczołek, taka albo inna barwa, kształt liści albo łodygi — wszystko to ukazuje się nam już nietylko, jako materyał dla systematyków, nietylko jako cecha i podstawa nudnej klasyfikacyi, nieskończonych działów i poddziałów—ale przedewszystkiem—jako oręż, potężny częstokroć w walce o byt, jako zdobycz odwiecznych zapasów z wrogiem lub jako zapowiedź zbliżającej się zagłady i upadku. Mnóstwo faktów—których wyjaśnienia w żadnym podręczniku botaniki nie znajdziemy — przedstawi się tu uwadze czytelnika w całej pełni naukowego oświetlenia. Ileż to razy widzieliśmy np., że kwiaty pewnych roślin blędną po zapłodnieniu? Przechodziło się koło tego zjawiska bez myśli, bez ciekawości nawet, nie zgadując, jak wielkie w życiu rośliny ma ono znaczenie! Ileż razy, w naturze i na rysunkach, widzieliśmy dojrzały kwiat jabłoni, otoczony wieńcem rumianych pączków; ta dziwna „estetyka“ drzewa była dla nas prostą tylko „igraszką natury;“ nie domyślaliśmy się, że obfity urodzaj jabłek w ścisłym pozostaje z nią stosunku.

Takich i tym podobnych zjawisk mnóstwo tłomaczy i opisuje książka Taylora. Dla wychowawców, dla matek, pragnących, aby przechadzka ich dzieci nie była samą tylko gimnastyką nóg, dla nauczycieli, obarczanych przez wychowańców tysiącem zapytań, na które często w żadnym podręczniku odpowiedzi znaleść nie można — dla tych wszystkich osób dziełko Taylora z pożądaną może podążyć pomocą.

Nie należy też wnosić, aby „antropomorfizm“ autora szkodził ścisłości naukowej. Jako gorliwy wyznawca teoryi rozwoju, jest Taylor gorącym też przeciwnikiem teleologii; zaznacza to wielokrotnie a wobec takiego zaznaczenia wszystkie jego przenośnie we właściwem przedstawiają się świetle. O ile „zmyślności“ lub „moralności“ roślin nie uzasadnia autor naukowo (rozdziały wstępne), o tyle wyrazy te i im pokrewne zwroty służą tylko do nadania wykładowi tego powabu, który znęcił do książki szerokie koło profanów i zapewnił jej niepospolite — ze względu na współzawodnictwo — powodzenie.

PERŁY HUMORU POLSKIEGO.

Księgarnia Bartoszewicza w Krakowie rozpoczęła już trzeci tom zbioru, wydawanego zeszytami pod powyższym tytułem. Nie cały w nim pomieszczony materyał składa się z „pereł,“ ale cały z „humoru polskiego.“ Poczytujemy to nakładcy za wielką zasługę. Czerpie on z dawnych i nowych pisarzów, z książek i pism peryodycznych, ale unika humorystycznej kontrabandy, którą przemycają obficie niektórzy z nowoczesnych stańczyków. Dzięki tej metodzie, mamy rzeczywiście antologię humoru „polskiego,“ niesfałszowanego tajemnemi pożyczkami z *Figara*, *Fliegende Blätter*, *Kladderdatscha* itd. Mogła zresztą tu i owdzie przekraść się jakaś „perła“ z francuskiego lub niemieckiego morza, wydawca jednak świadomie jej nie wyłowił.

Na początku tomu III pomieścił on „epigramata“ z rękopiśmiennego zbioru Legatowicza (Biblioteka jagiellońska). Nic trudniejszego, jak opisywać dowcip i humor. Dla tego zamiast sprawozdania, dajemy próbki, które czytelnik chętniej przeczyta i zawartość książki lepiej oceni.

Do kaznodziei.

Za co nad twem kazaniem kilka dni pracujesz?
Czemu twego Orlanda w tem nie naśladujesz?
Ten ledwie nad kazaniem godzinę posiedzi,
Idzie wnet na ambonę, zaczyna i bredzi.

Jędrzej Leski.

Rada Dyogenesa.

Dyogenesa ktoś w tem szukał rady,
Kiedy wieczerzę, kiedy jeść obiady?
A on głos z śmiechem zmieszawszy na poły,
Rzekł; gdyś bogaty, kiedy chcesz swe stoły
Zastawiaj suto; lecz gdy nic nie macie,
Kiedy ci dadzą, wtenczas jedz, mój bracie!

Łopaciński.

Odpowiedź chłopca.

Lampy świecą się jak gwiazdy;
Widać na dworze pojazdy,
Przy dźwięku hucznej muzyki
Słychać wesołe okrzyki;
W pałacu radość się szerzy,
I dają ognia z moździerzy.
„Z jakiej te gody przyczyny?
Czy to pańskie imieniny?
Czy może jakie wesele?
Dlaczego gości tak wiele?
Chłopie! co za bal we dworze?“
„Nie wiem, odpowie w pokorze
Chłop odarty i wybladły.
U nas codzień te kiermasze,
Pewnie piją—zdrowie nasze.“

Ignacy Piotr Legatowicz.

Nieprzyjaciel żydów.

Pan Lichwiarski jest żydów przeciwnik zawzięty,
Pobożny gniew w nim tleje na ten lud przeklęty.
Lecz ilekroć żyd przed nim pieniądze położy,
Pobożnie przypomina, że to lud był boży.

Nikodem Muśnicki.

Wzmianka o Judaszu.

Pan nasz skarbnik choć lubi pieniądze bez miary,
I rozmaite zawsze przedaje towary,
Na wzmiankę się Judasza jednak zalterował:
„Jabym, prawi, nierównie więcej wytargował.“

Nikodem Muśnicki.

Prawda i potwarz.

Niechaj kto na potwarze jak chce utyskiwa,
A ja mówię, że prawdy słuchać cięże bywa.

Nikodem Muśnicki.

Różnica między psami.

Między psami, a psami jest wielka różnica,
Choć złośliwy, wart chleba ten, co trzody strzeże;
Lecz tych powinna dawno zabrać szubienica,
Co po pańskich pałacach zlizują talerze.

Antoni Górecki.

Na krytyków.

Niech jeszcze dobre niebo tem Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków, a więcej pisarzy;
Bo z naszem gospodarstwem podobieństwo mają:
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają.

Antoni Górecki.

Recepta dla zalotników.

Dwa albo trzy umizgi, dwa lub trzy obiady,
Dwie lub trzy pod oknami dane serenady,
Dwa lub trzy z cukierkami pudełeczka małe,
Dwie albo trzy przysięgi, chociaż krótko-trwałe,
Dwie albo trzy zabawy, na których są tańce,
Dwa albo trzy codziennie wysłani posłańce,
Dwa albo trzy bilety na cienkim papierze,
Dwie albo trzy godziny w loży na operze,
Dwie lub trzy na przechadzkach słodziuchne rozmowy
Dwa lub trzy wierszem listy miłosnej osnowy;
Dwa albo trzy miesiące to czynić należy,
A każdy, czy to stary, czy młody uwierzy,
Że jeśli to *recipe* kogo nie utrudzi,
Niezawodnie połączy dwoje głupich ludzi.

Ferdynand Chotomski.

Przekleństwo.

Już też to kilka dni i nocy prawie
Jako nie nie spię, biedzę się i trawię;
Jeśli z miłości biedy mej przyczyna,
Niech dyabli biorą pana Kupidyna,
I jego siostry i braci i matkę,
A jeśli mało — i moją Agatkę.

Krzysztof Urbanowski.

O rachunku sumienia.

Pewny ilekroć chciał się swych grzechów spowiadać,
Miał zwyczaj żonę pięściami okładać.
Spytany o przyczynę od przyjaciół swoich:
„Mam, rzecze, słabą pamięć i przypomnieć moich

Grzechów sobie nie mogę: ta zaś, gdy pięść czuje,
Jak z rejestru me wszystkie występki rachuje."

Nikodem Czeczel.

Na deszcz.

Jak miły deszczyk! co to z niego będzie?
Wszystko nam z ziemi dobędzie.
„A niech Bóg broni! krzyknie sąsiad przestra-
[szony:
Ja tam mam trzy żony."

Aleksander Fredro.

O łzach.

Najprędzej łzy schną, wiedzcie o tej dobie:
Pannie przy ślubie, wdów przy mężów grobie.

Mateusz Hieronim Kochanowski.

Na macochę.

Rzucając ktoś kamieniem na psa, na macochę
Trafił — i rzekł: Toć to nie źle, chociem
[zboczył trochę.

Mateusz Ignacy Kuligowski.

Obok wierszowanego stoi w *Perłach* humor prozy. Czy zawsze jest polskim, zwłaszcza w bezimiennych urywkach, naturalnie ręczyć nie możemy. Np.:

Stroskana matka.

— A cóż syn pani hrabiny porabia?

— Ach nie mów mi pan o nim! Zakochał się w jakiejś tam córce budowniczego! „Mais c' est abominable, cher baron!"

— Ależ to bardzo przyzwoita panienka.

— Tem gorzej! tem gorzej!

Spóźnione afekty.

Młody neofita (patrząc na piękną izraelitkę). Gdybym był żydem, ożeniłbym się z nią natychmiast.

Przyjaciel. Szkoda, trzeba ci było przy chrzcie wziąć kontramarkę.

ODCZYTY.

Maryan Gawalewicz.

O śpiewaku „Wiesława."

Pięćdziesiąt lat minęło od śmierci Brodzińskiego, tego zwiastuna nowej poezyi naszej, a jednak dotychczas ani osobistość jego, ani działalność literacka nie doczekała się słusznej i gruntownej oceny. P. Gawalewicz postanowił więc przypomnić nam poetę, „który się za mało zmierzył i za tanio ocenił względnie do swoich zasług w literaturze i społeczeństwie." Ale jeżeli ta skromność świadczy na korzyść Brodzińskiego, to literatura i społeczeństwo, które go niewłaściwie mierzą i niesprawiedliwie cenią, nie mają żadnej wymówki. Prelegent mówił tylko o śpiewaku *Wiesława*, nie wdając się w ocenę Brodzińskiego, jako profesora. Jakkolwiek cały pierwszy odczyt prawie całkowicie poświęcony był charakterystyce poety, p. Gawalewicz za mało wydzielił uwagi jego młodzieńczym latom, chociaż wpływ wspomnień dzieciństwa tłomaczy: dlaczego później twórczość jego i w treści i w formie nosi charakter ludowy. Przykład Reklewskiego, zapomnianego autora zbiorku wierszy p. t. *Pienia sielskie*, wskazał tylko poecie właściwą drogę, ale nie był pobudką do wybrania jej. Charakterystyka sielanki polskiej, która już w utworach Szymonowicza i Zimorowiczów różni się wybitnie od ckliwej idylli, była bardzo trafną, ale za mało prelegent uwzględnił jej społeczne znaczenie. W wieku XVI i XVIII była ona protestem przeciw uciskowi i poniżeniu ludu, dążyła do tego celu, co i satyra współczesna, tylko że używała środków odmiennych. Temperament pisarza rozstrzygał o wyborze środków. Pod tym względem Brodziński podobnym był do swoich poprzedników a temperament jego objaśnia nam, dlaczego wybrał sielankę.

Dosadnie bardzo określił prelegent wrażenie, jakie wywołał w swoim czasie *Wiesław*, „ten cham, który się ośmielił gwizdać w pustym kościele klasycznej poezyi." Szczegółowy rozbiór poematu nie zawierał nic godnego uwagi. Ciekawe bardzo szczegóły podał p. Gawalewicz o zamiarze Brodzińskiego napisania poematu narodowego. Plan tego utworu poeta nakreślił, ale nie miał dosyć talentu do wykonania; zbliżał się on w treści do *Pana Tadeusza*. Brodziński najzupełniej zasługuje na miano poety narodowego, *Wiesława* jego bowiem czytać może bez wyjątku każdy chłop polski.

Niech o mnie w miastach, w pałacach nie wspomną,
Na wsi ja sławę chcę budować skromną.

I rzeczywiście, kiedy inteligencya zapomniała o zasługach utalentowanego pisarza, najlepszy utwór jego zdobył już sobie uznanie w chacie włościańskiej.

Nam, którzy pamiętamy o tem, czego nie potrzeba, a zapominamy o tem, o czem pamiętać winniśmy—odczyt p. Gawalewicza wskazał niespełniony obowiązek. Brodziński dotychczas nie doczekał się właściwej oceny, a historycy literatury powtarzają o nim wytarte ogólniki.

Wytworna forma wykładu, odczytanego z należytą deklamacyą (prelegent mówił obecnie głośniej niż poprzednio) zasługuje na zaznaczenie. Odczyt p. Gawalewicza nie różnił się niczem od tych, na które publiczność tłoczyła się niegdyś zapamiętale, pomimo to miał niewielu słuchaczów. Ale bo też prelegent nie ma dziewięciu pałek w herbie!

Dr. K. Dobrski.

Hygiena nerwów.

Rozpowszechnienie się chorób nerwowych jest objawem, charakteryzującym dobę współczesną—przedmiot odczytu był więc bardzo ciekawym. Prelegent, określiwszy budowę i znaczenie nerwów w organizmie ludzkim, wskazał cechy znamienne t. z. temperamentu nerwowego, zarówno fizyczne jak moralne. Dziedziczność gra wielką rolę w przekazywaniu potomstwu przypadłości nerwowych, wychowanie jednak może tę wadę, jeżeli nie stłumić, to przynajmniej osłabić lub też przeciwnie—rozwinąć.

Dzieci nerwowe potrzebują bardzo umiejętnego postępowania z niemi. Teraźniejszy systemat szkolny okazuje się bardzo szkodliwym dla prawidłowego rozwoju organizmu. Nadmiar pracy przy braku ruchu i ćwiczeń fizycznych a wreszcie specyalne warunki szkoły przyczyniają się tylko do rozstroju systematu nerwowego.

P. Dobrski słuszną zrobił uwagę, że główną przyczyną chorób nerwowych są istniejące stosunki społeczne, ale przyczyny tej medycyna usunąć nie może, co najwięcej łagodzi ona tylko skutki takiego stanu rzeczy.

Właściwej hygienie nerwów poświęcił prelegent nie wiele czasu: potępił on używanie wszelkich środków podniecających, zwłaszcza zaś napojów wyskokowych i zakończył wykład uwagą o konieczności podniesienia moralnego i umysłowego poziomu klas pracujących. Piękne słowa, ale nie ciemnota i niemoralność mas wytworzyły dzisiejsze stosunki, owszem, one to są ich rezultatem, a wyższy umysłowy i etyczny poziom warstw zamożnych nie zmniejszył ich nerwowości, raczej wzmocnił ją chyba. P. Dobrski dotykał prawie przyczyny tej choroby wieku, nie umiał jednak jej określić, zresztą, co prawda, nie jest to rzeczą lekarza.

P.

CHMIELNICKI POD LWOWEM

J. MATEJKI.

Nieszczęśliwą była chwila, w której Matejko, czy z własnego natchnienia, czy—jak głoszono—z cudzego podszeptu umieścił św. Stanisława nad *Bitwą grunwaldzką*. Odtąd bowiem tak upodobał sobie ten chorobliwy pomysł, że go ciągle powtarza na swoich obrazach. Zastrzegamy wyraźnie, że żal nasz nie pochodzi bynajmniej z pobudek antireligijnych, lecz czysto artystycznych. Umiemy cenić Madonny Rafaela lub świętych Murilla, ale niepodobna cenić dodatków religijnych, szpecących genialne utwory mistrza krakowskiego, dodatków, które on—jak mówi przysłowie—„ani przypiął, ani przyłatał." Stanowią one bowiem jakiś dług, spłacony bigoteryi kosztem sztuki, jakieś podrzędne i nienaturalne ognisko sceny malowanej, która ma inne główne i naturalne. Tak np. w *Bitwie grunwaldzkiej* promienie akcyi zbiegają się na postaciach przewodniczących walce, tymczasem po nad nim unosi się św. Stanisław w roli sprawcy polskiego tryumfu. Jeżeli go nie spuścimy całkiem z uwagi, spytać trzeba: kto tu właściwie jest zwycięzcą: król Jagiełło, czy św. Stanisław?

To samo pytanie w odmiennej postaci zadajemy sobie wobec ostatniej pracy Matejki, *Chmielnicki pod Lwowem*, nabytej przez p. Temlera i wystawionej w Towarzystwie zachęty. Co uderzyło zadziwionego hetmana: widok Lwowa na dole, czy świętego Jana z Dukli w górze? To drugie przypuszczenie wydaje się prawdopodobniejszem. Popiera je sam skład obrazu, zawierającego, oprócz tych dwu postaci, jednego przybocznika, jednego żołnierza, grajka na lirze i brankę, której stary kozak podaje kielich. Cała więc olbrzymia scena Chmielnickiego na czele licznej armii pod Lwowem skurczyła się tu do jego spotkania ze świętym.

Wobec takiego przedstawienia ważnej chwili dziejowej poprostu nie ma co mówić o treści wewnętrznej, wcielonej w wyrazy twarzy, ruchy i stosunki figur, lecz zastanawiać się można jedynie nad techniką.

Każdy zapewne z czytelników naszych zna Matejkę i wie, że artysta tej siły niezdolny stworzyć nic miernego. *Chmielnicki* też nosi na sobie wszystkie ślady lwich dotknięć. Sam on, siedzący na siwym koniu, wybornie odpowiada temu portretowi, jaki nam historya zachowała: dziki, energiczny, groźny, zuchwały. Pięknym jest również kozak, z uśmiechem brzdąkający dumkę, zrozpaczonej brance, oraz starzec, podający jej kielich z odblaskiem dobroci w twarzy.

Całość należy do tej grupy prac Matejki, którą umieścić można pomiędzy zupełnem wykończeniem a szkicem i którą artysta obficie mnoży obrazami obstalowanymi. Nie jest to rzut pobieżny, ale nie jest także dzieło wyrobione według reguły Horacyuszowskiej—„aż do paznokcia." Drobne wszakże braki zakrywa oryginalność pędzla, ten nieuchwytny w żadne określenie, potężny urok, którym uderza każda praca Matejki i który tkwi wyłącznie w jego tylko geniuszu. Chyba nie ma dziś w całej dziedzinie sztuki artysty lub pisarza, który byłby tak odmiennym od innych, tak samodzielnym, tak oryginalnym, jak mistrz krakowski. Zdaje się, że nikt go nie urodził i on nikogo nie zrodzi. Dotąd przynajmniej stoi sam w swoim rodzaju.

W.

LIBERUM VETO.

Kiermasz i jego roskosze. — Skarga na cyganki. — Trudności dowcipu i wróżby. — Rozszerzone granice możliwości. — Najtrafniejsza przepowiednia. — Konsylium *Gazety rolniczej* nad chorym rolnikiem. — Najbardziej godni pożałowania. — Nasza Joanna d'Arc. — Ogrzewanie pleców przy pożarze. — Szewczyk Gierymskiego. — Jego pokrewieństwa. — Patron przyszłorocznego karnawału.

Ile rzeczownik ma odmian gramatycznych i stosunków składniowych, w tylu występuje urządzony na korzyść Towarzystwa dobroczynności „kiermasz.“ Jest to hasło dnia, źródło miłosierdzia i przyjemności. Bo też czego ludkowi nie daje! I towary po umiarkowanych cenach, i przedstawienia sceniczne, i pantominy, i muzykę, i śpiew, i wróżby cygańskie, i wystawę toalet—za 20 kop. od osoby! Wszystko to publiczność spożywa, oblizując palce, bo pomysłowy hr. Walowski przyrządził doskonały sos. Najmniejszem powodzeniem—jak zapewnia codzień jeden z *Kuryerów*—cieszą się cyganki, do których wszakże — według drugiego — „dostać się nie sposób.“ Niezadowolony utrzymuje, że są one niedowcipne, niezręczne w swych przepowiedniach, przeważnie banalnych. Zarzutu tego nie mogę uznać z dwu względów: naprzód, kto jest dowcipnym, nie popisuje się na kiermaszu, a powtóre, żaden dowcip nie umiałby nam wyprorokować nawet najbliższej godziny. Sama wyrocznia delficka niewątpliwie rzekłaby każdemu z nas: jeżeli cię los nie rozedmie w wielką bańkę powietrzną, to stężejesz w ziarnko krzemienia. Łatwo wróżyć, ale wobec prawidłowości. Kulę, leżącą na krawędzi równi pochyłej można upewnić, że się stoczy na dół, ale wyobraźmy sobie, że pelikan, niesiony przez orkan, spyta nas w przelocie, gdzie spadnie, albo ślimak, pełzający po ścieżce—gdzie go noga ogrodnika odrzuci? Światowidy i Perkuny, gdyby jeszcze stali na naszych ołtarzach, nie odgadliby jutra, a wy chcecie jasnowidzenia od zwykłych niewiast, przebranych za cyganki!

Na początku tego roku byłem raz świadkiem biegle kładzionej kabały.

— A pan umie wróżyć? zagadnęła mnie najciekawsza swej przyszłości czarnogłowa.

— Bez kart.

— Więc niech pan mnie cokolwiek wyprorokuje.

— Za kilka miesięcy będziesz pani chętnie nosiła zapinany w ukos kaftan.

— Skądże takie dziwne przypuszczenie? rzekła zarumieniona gniewem obywatelka.

— Z gazet, w których czytałem, że takie kaftany przepisała moda paryska na bieżące lato.

— Chyba dla...

Nie dokończyła, a ja uszanowałem jej oburzenie.

Po kilku miesiącach spotkałem ją w kaftanie na poprzek zapinanym. Nawet nie spuściła oczu.

Mądry rabi nie miał racyi, twierdząc, że „wszystko już było.“ Nasza epoka odznacza się właśnie tem, że rodzi takie wypadki, które jeszcze nie były, t. j. rozszerza granice możliwości w nieskończoność. O tem pamiętać winny zwłaszcza wróżki i pytającym odpowiadać:

— Spotka pana lub panią to, o czem ben Akiba nie wiedział.

Wtedy proroctwa ich byłyby trafne i może nawet dowcipne.

Przy końcu roku zeszłego *Gazeta rolnicza* wyznaczyła konkurs na temat: „w jaki sposób prowadzić nadal gospodarstwa, aby wyrównać w nich niedobory powstałe wskutek obniżenia cen ziarna a głównie pszenicy?“ Nadesłano dyagnoz i recept kilkadziesiąt, opiekunowie wszakże chorego wybrali do głębszego rozbioru dwie. W redakcyi tedy odbywa się prawdziwe społeczno-ekonomiczne konsylium nad łożem ciężką niemocą dotkniętego rolnictwa. W obradach tych tkwi prawdziwy dramat. Nie sama ciekawość wywołała konkurs i rozprawy, ale niedola—bankructwo. Kto wygląda po za Warszawę i sięga okiem do uboższych zwłaszcza dworów wiejskich, widzi pojedyncze sceny owego dramatu—sceny nieraz bolesne, a o tyle bardziej zawikłane, że klęska zwaliła się przeważnie na ludzi niezaradnych, lekkomyślnych, do wygodnego życia nawykłych, którzy dziś chcieliby się odrodzić, zmienić. Nie przeczę, że znaczna część ziemian własnymi błędami zarabiała także na obecne swe położenie. Ale doprawdy urąganie winnym nie jest ani szlachetną wspaniałomyślnością, ani rozumną socyologią. Morał, nawet zasłużony, ma wtedy tylko wartość, gdy skutkuje w przyszłości. Inaczej dla deterministy jest on słowem daremnie straconem i niesprawiedliwem. W obecnem też przesileniu rolnem najbardziej żal mi głupich, nieopatrznych, leniwych, niezdolnych do walki o byt. Mądrzy bowiem, rozważni, pracowici, energiczni poradzą sobie i wybrną z kłopotów, a że nie uratują całej poprzedniej renty—to mego serca krepą nie opasuje. Ale co zrobią tamci—nieszczęśliwi, bo niedołężni? Ich nie zbawi żaden konkurs *Gazety rolniczej*, żadna rozprawa, podająca środki „wyrównania niedoborów.“ Uniewinniamy człowieka, który unika wszelkiej pracy, bo zdaje mu się, że jest szklannym; czemuż mamy potępiać obłąkanego na innym punkcie—swych przodków, nadmiernych potrzeb, szyku, posłannictwa itd.? On także szklanny i nie chce stłuc się o twarde warunki życia. Biedny, co go obchodzi konkurs i nowy sposób prowadzenia gospodarstwa!

Nikt nie radzi, nikt nie myśli o biednych pogorzelcach Grodna, prócz jednej, wielkiego serca kobiety, E. Orzeszkowej. Przed kilku dniami czytałem w jednej z gazet warszawskich radosną wiadomość, że „sprawa kanonizacyi Joanny d'Arc jest na *najlepszej drodze*;“ słynna dziewica „ma otrzymać *tymczasowo* przydomek czcigodnej.“ Nie zaprzeczając bohaterce francuskiej prawa do najwyższej, nie tymczasowej rangi niebiańskiej, sądzę, że nasza Orzeszkowa, chociaż nigdy kanonizowaną nie będzie, stała się Joanną d'Arc Grodna i zasłużyła na przydomek czcigodnej. Bo ile ona trudów, niezmordowanych usiłowań i łez wylała na rany swego ukochanego miasta! Tak, łez! Płakała naprzód nad jego nieszczęściem, a teraz płacze nad zawiedzioną nadzieją ratunku. Nie nadymajmy się swą szczodrobliwością—według ścisłych obliczeń rosyanie dali $^4/_5$ składek, a polacy tylko $^1/_5$. Bogacze nasi, właściciele całych powiatów i fabryk, milionerzy w żółtych butach i w żółtych cholewach, ludzie „potrzebujący“ rocznie setek tysięcy rubli, apostołowie naszej „kultury“ na Wschodzie odwrócili się do zgliszcz grodzieńskich i przy ich ogniu ogrzeli sobie tylko plecy. Żaden nie wrzucił pełną garścią do pożaru tej „święconej kredy,“ którą gasi swe gorące pragnienia zbytku. I władza na zbieranie składek pozwoliła, i silnych pobudek do ofiary nie brakło. Daremnie rozgłaszanemi na wszystkie strony świata odezwami zacna szarytka miasta przypominała obowiązki, o których we śnie pamiętać powinniśmy; bliższe ubóstwa klasy średnie trochę groszów wdowich złożyły, wielcy panowie ukryli swe głowy i kieszenie w chmurach „wyższej polityki.“ Zaiste, trudno od nich wymagać jałmużny w czasach, kiedy pszenica coraz tańsza, a kucharze coraz drożsi. Ponieważ zaś klęska grodzieńska, jako tytuł dobroczynności modnej, dla ogółu naszego wystarczyła zaledwie na jeden jesienny „sezon,“ wyschło więc już zupełnie źródło, z którego się sączyły krople miłosierdzia. A nędza w Grodnie pastwi się nad nieszczęśliwymi dalej, zwłaszcza gdy zima dostarczyła jej nowych zębów i pazurów. Zapytajcie tej, która z bliska patrzy na niedolę. Ona wam, wymowniej niż ja, opowie bajkę, po wysłuchaniu której czyste sumienie póty nie zaśnie, aż wyrzut obojętności z siebie zmaże.

W *Tygodniku powszechnym* odbito rysunek A. Gierymskiego p. t. „Szewczyk warszawski.“ Dawno w ilustracyach polskich nie spotkałem nic równie pięknego. Gdyby ów organ nie kończył w roku bieżącym swego żywota i żyć miał, niezawodnie czytalibyśmy zapalczywe pochwały dla tego kierunku. Ale, niestety, *Tygodnik powszechny* umiera, a wiadomo, że konającego opuszczają zwykle wszyscy, prócz spadkobierców. Tu nawet spadkobiercy nie mają interesu pochlebiać dogorywającemu, bo mają w ręku jego testament. Co innego ja, niezmordowany sztucznem sławieniem go za życia, a przytem wrażliwy na wszelką piękność. Ja wam radzę obejrzeć rysunek Gierymskiego. Typowy szewczyk w podziurawionym fartuchu, z jedną nogą bosą a drugą obutą, pali papierosa i śmieje się. Przepyszny uśmiech! Trochę w nim zadowolenia i szczerej wesołości, a trochę cynizmu. Musi to być bliski krewny owego chłopca Kostrzewskiego na okładce jednodniówki dla grodnian. Zdaje on się myśleć: obszarpany jestem i bosy, ale mi dobrze, bo mam co palić i żadnej składki na pogorzelców nie dam. Pokrewieństwo tego szewczyka sięga nawet dalej. Wpatrzywszy się bliżej, dostrzeżemy w nim rysy wszystkim nam wspólne: to samo ubóstwo i ten sam humor, wyciągnięty z... papierosa. „E, co tam, dziury świecą, głód dokucza, ale niech dyabli wezmą troski, trzeba podnieść w górę naddarte uszy!“

A jaki to znakomity patron przyszłego karnawału, do którego już nam się nogi ruszają—chociaż jedna tylko obuta, chociaż głowa bez nakrycia, fartuch z dziurami! Doznaję złudzenia, ten szewczyk zaczyna przedemną tańczyć, wyjął z ust papierosa i woła: panowie rrrond!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Orędzie tryumfujące. — Tradycya odzyskuje przewagę. — Czynszownicy. — Skarga obywatela rosyjskiego. — Kraj bez kultury.

Jakkolwiek od lat kilku troskliwie badam i zaznaczam objawy naszego życia społecznego i żadnych szczególnych zmian w niem nie dostrzegłem, dowiaduję się jednak, że w przekonaniach i postępowaniu ogółu odbył się zwrot wielce ważny. Bo oto posłuchajcie:

„Wpływ radykałów na umysły w kraju naszym stępiał i zmalał.

Tradycya, której broniliśmy, utrzymała lub odzyskała przewagę i znaczenie swoje w przeważnej części społeczeństwa.

Konserwatywne przekonania i pojęcia coraz więcej się u nas szerzą i coraz większe budzą poszanowanie.

Stanowisko moralne plutokracyi i jej przeważny wpływ na sprawy ogólne, jeżeli nie obalony, to przynajmniej mocno zachwiany (zwłaszcza gdy literaci konserwatywni gromadą przyjęli służbę na kolejach żelaznych).

Ziemianie ocknęli się z apatyi i przestają już dzisiaj być owem pochyłem drzewem, na które nawet kozy—skaczą... w gazetach.

Coraz liczniejszym staje się zastęp takich, którzy szukają dróg do spożytkowania warunków istniejących na korzyść społeczeństwa.

Są to wszystko rzeczy dla nas przynajmniej widoczne i jasne. Czy jednak mamy je przypisać naszemu *wyłącznie* wpływowi i naszej zasłudze? Broń nas Boże od podobnej zarozumiałości.“

Nie wiem, doprawdy, co więcej podziwiać: czy treść i formę tego manifestu, czy też skromność jego autorów, którzy nie ośmielają się przypisać wyłącznie sobie tych zmian doniosłych. Ponieważ ogół nie posiada daru jasnowidztwa rzeczy nie istniejących, właściwego tylko redaktorom *Niwy* i nic o tem nie wie, że w przekonaniach jego nastąpiła taka cudowna przemiana, powtarzamy to „objawienie sług pańskich,“ żeby czytelnicy nasi wiedzieli, czem byli i czem są teraz.

O upadającym wpływie radykałów przez skromność nic wspomnę. Pomówimy natomiast o innych argumentach.

„Tradycya odzyskała *przewagę* w *przeważnej* części społeczeństwa.“ Rozumie się tylko nie tradycya dobrego stylu, jak świadczy ustęp powyższy. Przeważną część społeczeństwa stanowią u nas chłopi, którym tradycya bata i pańszczyzny, poniewierki i wyzysku ani dziś nie uśmiecha się, ani nigdy uśmiechać nie będzie.

Czy „konserwatywne pojęcia szerzą się coraz więcej i coraz większe budzą poszanowanie“ wiedzieć nie mogę, bo jeszcze nie rozesłano kwestonaryusza w tej sprawie, ale to wiem, że ani suknie błazeńskie, ani liberya, ani wytrwałe „stanie“ w przedpokojach wiedeńskich i innych — szacunku uczciwych ludzi zdobyć nie mogą.

Nie widzę także zachwiania „wpływu moralnego plutokracyi na sprawy ogólne,“ ale jeżeli by tak było — to wcale nie zasługa *Niwy*, której opiekunowie przecie z plutokracyą mają niejaki związek.

Jedno tylko prawda: „ziemianie ocknęli się z apatyi i przestają być pochyłem drzewem.“ Rzeczywiście, odebraliśmy właśnie kilka listów, świadczących, że „pochyłe drzewa“ prostują się powoli. Coraz częściej słychać o rozmaitych pomysłach, mających na celu niepłacenie długów. Z jednego powiatu donoszą nam o dwóch operacyach bardzo dowcipnych. Pochyłe drzewo wyprostowało się tak zręcznie, że dało za jednym zamachem szczutka w nos wszystkim wierzycielom, którzy odeszli jak to mówią z kwitkiem—dumać o rozbudzeniu się ducha obywatelskiego pod wpływem propagandy zachowawczej. Mianowicie jeden z „obywateli“ ułożywszy się tajemnie z chłopami oddał im zasłużebności $^4/_5$ swego majątku, a $^1/_5$ pozostawił wierzycielom i... Towarzystwu kredytowemu.

Ta sama *Niwa* z akompaniamentem innych mniej lub więcej zakonserwowanych i konserwatywnych głosów skarży się ciągle na upadek własności ziemskiej, na ciężkie przesilenie w rolnictwie, na zastój w przemyśle, na upadek moralności publicznej. „Jakaż przykra zmiana w porównaniu ze stanem rzeczy przed 10 laty,“ woła dziennik prawdziwie zachowawczy. Ależ wtedy właśnie podobno panoszył się u nas radykalizm (?) przeciw któremu wystawiono zbawienną tamę, ogłaszającą dzisiaj o swojej dziesięcioletniej działalności. Broń mnie Boże jednak, żebym złe teraźniejsze przypisywał *„wyłącznie* wpływowi i zasłudze“ *Niwy*.

Widocznie duch „łaski pańskiej,“ rozbudzającej uczucia obywatelskie doszedł już do Płocka, bo oto kronikarz miejscowego organu skarży się w ten sposób: „Ideałem płoczczanina jest byt wygodny i stan umysłu letargiczny. My tu na prowincyi należymy do ludzi bardzo, ale to bardzo poczciwych i spokojnych. Życie nasze płynie tak cicho, cicho... Nie alarmujemy szerokiego ogółu jakiemiś waryackimi wyskokami. Charakter nasz łagodny do tego stopnia, że pozwalamy złodziejom kraść buty wprost z nóg i róże z własnego ogrodu, nie robiąc wrzawy i krzyku.“ Według terminologii *Niwy* drzemka taka nazywa się „spożytkowaniem warunków istniejących na korzyść społeczeństwa.“ Ale słuchajmy dalej: „W Płocku stokroć lepiej być niczem, aniżeli starać się być czemś. Będąc *niczem*, zerem moralnem, robi-groszem, szachrajem, próżniakiem, kretynem, czy idyotą — z pewnością mam w perspektywie wszelkiego rodzaju szczęśliwości.“ Określenie Kartezyusza w zastosowaniu do Płocka autor zmienia tak: „jem, śpię, gram w preferansa — więc jestem.“ Niema już wątpliwości, że w Płocku przynajmniej tradycya odzyskała przewagę i to tak stanowczą, że nawet konserwatywny preferans wypędził radykalnego winta.

Zachowawcy nasi lubią bardzo rozprawiać o „zdobyczach polskiej kultury i polskiego pługa na wschodzie,“ które stanowią jakoby niespożytą zasługę, cywilizacyjne posłannictwo szlachty. O kulturze mówić nie będę, wspomnę jednak o zdobyczach pługa. Potomkowie tych prawdziwych zdobywców ukraińskiej gleby noszą dziś miano czynszowników, i jak wiadomo, z poniewierką praw nabytych wyrzucani są nieraz z siedzib. W roku przyszłym sprawa czynszowników ma być stanowczo uregulowaną na tych samych zasadach, na jakich uwłaszczeni zostali włościanie. Wiadomość ta przeraziła tych „przedstawicieli kultury,“ którzy dotychczas nie zdążyli jeszcze wypędzić „bohaterów polskiego pługa.“ Pierwsi starają się teraz wynagrodzić opieszałość swoją artykułami w gazetach. Twierdzą oni, że czynszownicy żadnych praw nieposiadają, że zależeli zawsze od łaski pańskiej. Zdanie to znalazło nawet wymownych rzeczników, szlachetnych patryotów, którzy nie zawahali się poniżyć przeszłości, byle tylko przysporzyć zysku teraźniejszej „kulturze.“ Rzeczywiście czynszownicy dzielą się na rozmaite kategorye, ale nawet najmłodsza z nich ma niezaprzeczone prawo do ziemi, którą uznoiła swoim krwawym potem. Każda reforma społeczna rozsądza ramy stosunków istniejących i oczywiście nie może czcić bezwzględnie zasad, które właśnie zmienia.

Jeżeli dodamy, że czynszownicy należą przeważnie do narodowości polskiej, to wtedy dopiero zobaczymy we właściwem oświetleniu frazesy o posłannictwie, zdobyczach kultury i pługa.

Z tego, cośmy powiedzieli, nie wynika wszakże bynajmniej chęć pozbawienia właścicieli gruntów, na których siedzą czynszownicy — słusznie przypadającego im wynagrodzenia. Zasady, według których uwłaszczeni zostali chłopi, powinny być stosowane i względem czynszowników, ale normę oceny gruntów należałoby podwyższyć odpowiednio do istniejących cen ziemi, które zwłaszcza na Ukrainie wzrosły w ciągu lat dwudziestu dosyć znacznie. Podwyżka ta jednak nie może odpowiedzieć wygórowanym żądaniom właścicieli, którzy obliczają cenę ziemi zbyt wysoko, na podstawie wyjątkowych tranzakcyj lub też czynszu dzierżawnego, wytężonego do ostatnich granic.

Obawiam się, że gubernie zachodnie zostaną wkrótce bez żadnej kultury, jedna z nich bowiem upada, druga zaś dobrowolnie abdykuje. Korespondent *Now. Wremieni* dowodzi obszernie, że włościanie rosyjscy w tym kraju nie będzie się rozwijać z „przyczyny warunków uniemożliwiających spokojne prowadzenie gospodarstwa.“ „Przychodźców rosyjskich spotyka tu przedewszystkiem ogólna niechęć, skutkiem której każdy odrazu uczuwa się w zupełnem odosobnieniu. Worywanie się w granice, zabór kawałków ziemi, pożary, wyrąb lasu, kradzieże koni, tajne gorzelnie, rabunki, gwałty, samowola — o to, co się widzi naokoło. Rosyanie, polacy, czy niemcy, wszyscy bez różnicy obywatele marzą tylko o tem, aby prawo było rzeczywiście osłoną porządku, który spokojnie pozwalałby oddać się gospodarce rolnej. Dopóki wszakże stan taki nie istnieje, wielu szczerze pragnie wynieść się z tych stron jak najprędzej.“

Poprzednio bez wahania głosowałbym za kulturą niemiecką ale korespondent *Gazety polskiej* rozwiał moje złudzenia, że niemcy są żywiołem pracy i porządku. Donosi on, że w okolicach Góry Kalwaryi koloniści niemieccy utworzyli bandy rabusiów i wszystkie osady germańskie są siedzibami złodziejów i opryszków. Biedni niemcy, żałuję ich szczerze, że mają taki łagodny, przystosowujący się do zwyczajów miejscowych charakter, bo tak przecie powiada p. Hartmann. Ale nic można chyba ludzi, którzy tak łatwo „naśladują“ otoczenie, zalecać jako nauczycieli kultury.

Tylko na Ukrainie kultura broni się jeszcze na swym posterunku. Gazety notują w ubiegłym tygodniu aż trzy wypadki podstrzelenia włościan kradnących drzewo, przez straż leśną. Kiedy rodzina jednego z ranionych niebezpiecznie udała się ze skargą na leśniczego, ten, do kogo należało przyjmowanie zażaleń, uspokoił stroskanych: „jeżeli się wyliże, to pójdzie pod sąd, ale że pewno umrze, więc sprawa umorzy się.“ Chłopi, którzy mordują koniokradów, odpowiadają nieraz surowo za ten czyn samowoli; ale gajowy, który zabija człowieka za kradzież drzewa, nie ponosi za to żadnej kary, bo we wszystkich powyższych wypadkach winnych nie aresztowano nawet, poprzestając na spisaniu protokołu. Nic dziwnego, że kultura, która życie ludzkie mniej ceni niż kawałek drzewa, nie posiada żadnego wpływu i masy pomimo zachęty moralnej, pomimo odpowiednich przepisów i instrukcyj nie chcą przebywać w stanie ucywilizowanym. No, ale za to, dzięki straży leśnej „zasady konserwatywne budzą coraz większe poszanowanie!“

J. Nieborski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 grudnia.

Serbia i Bułgarya dotyczas nie zawarły stanowczego zawieszenia broni, obie strony nie chcą na włos odstąpić od swoich żądań, będzie więc godzić je specyalna komisya międzynarodowa pod przewodnictwem pełnomocnika rosyjskiego p. Kaulbarsa, która już wyjechała do Pirotu. Zanim jednak wykreślenie linii demarkacyjnej nastąpi, obie armie starają się zająć jak najdogodniejsze stanowiska, wskutek czego od czasu do czasu zdarzają się małe potyczki.

Komisya międzynarodowa określi tylko warunki zawieszenia broni, ale zatarg Serbii z Bułgaryą i unia tej ostatniej z Rumelią oczekuj jeszcze wyroku Europy. Dzienniki podają ciągle jak najsprzeczniejsze wiadomości: to okręg widdyński ma być zamieniony na pirocki, to w zamian za drobne ustępstwa terytoryalne Bułgarya otrzyma zatwierdzenie unii, to znowu, że dawny stan rzeczy zostanie przywrócony. Mówią nawet o nowej konferencyi mocarstw. Tymczasem książe Aleksander, zdaje się, trafił na właściwą drogę: porozumiewa się bowiem wprost z Turcyą. Komisarz turecki wskutek zaproszenia rządu bułgarskiego przybyć ma do Sofii i kierować układami w przedmiocie pokoju z Serbią. Porta widocznie pragnie zachować tylko pozory i chętnie uznałaby unię osobistą, przez wybór księcia na wielkorządcę Rumelii, gdyby nie protesty dyplomacyi, która nie może pogodzić się z myślą, „żeby rewolucya otrzymała wynagrodzenie.“ Turcya czuje, że dalsze zawikłania mogą ją narazić na straty nieobliczone — woli więc ustąpić dobrowolnie. Polubowne załatwienie sprawy nie miało by przeszkód, chodzi tylko o pozyskanie zgo-

dy Rosyi, co zapewne uda się księciu bułgarskiemu osiągnąć.

Izba węgierska uchwaliła 210 głosami przeciw 130 pięcioletni okres działalności sejmu, zgodnie z wnioskiem rządowym, uważającym dotychczasowe trzechlecie za szkodliwe z powodu częstych agitacyi wyborczych.

Taki sam wniosek bez nadziei powodzenia postawili w parlamencie niemieckim zachowawcy; socyaliści w odpowiedzi wystąpili z żądaniem skrócenia terminu działalności sejmu do dwóch lat.

Ks. Bismark zażąda przedłużenia ustawy przeciw socyalistom i zatwierdzenia budżetu wojennego na lat siedem. Rząd liczy, że otrzyma większość 10—12 głosów, gdyby wszakże rachuba ta zawiodła, parlament będzie rozwiązany.

Francuska Izba deputowanych wyznaczyła osobną komisyę dla szczegółowego zbadania sprawy tonkińskiej, dotychczas śledztwo parlamentarne wykryło szereg nadużyć. a właściwiej opieszałości władz wojskowych. Bez względu na wnioski komisyi, postanowił rząd utrzymać Tonkin i większość Izby postanowienie to pochwala. Dopóki wszakże sprawa ta nie zostanie ukończoną, zwołanie kongresu dla wyboru prezydenta musi być odroczone; niema zresztą z czem spieszyć się, kiedy jedynym poważnym kandydatem jest Grevy.

Anglikom lepiej wiodą się wyprawy kolonialne, niż ich sąsiadom. Wojska brytańskie po kilku utarczkach zajęły stolicę Birmanii—Mandalay; król został aresztowany i wysłany wraz z całą rodziną z granic państwa i wojna odrazu ustała. Urzędowe przyłączenie Birmy do posiadłości indyjskich nie zadługo nastąpi.

W sejmie galicyjskim utworzył się nowy klub „postępowy,“ w skład którego weszło 18 posłów.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Na gwiazdkę księgarnia Centerszwera wydała *Ogród zoologiczny*, w którym na 20 kolorowanych tablicach odbito ważniejsze okazy świata zwierzęcego.

Zgromadzenie krawców warszawskich zebrało dane, dowodzące, że dwustu majstrów chrześcian ma na długach u klientów 800,000 rs.

Konkurs *Gazety rolniczej*. Komisya konkursowa, złożona z kilkudziesięciu znanych rolników, przyznała pierwszą nagrodę w kwocie rs. 400 p. Gustawowi Plewako, drugą 200 rs.—p. dr. Karolowi Kaczkowskiemu. Pozostały fundusz 300 rs. przeznaczono jako nagrodę za najlepszy szemat rachunków gospodarskich, na który ogłoszony zostanie osobny konkurs.

Matejko pracuje obecnie nad wykonaniem 11 kartonów, które przeznaczone są dla ozdoby sali głównej w politechnice lwowskiej. Treść kartonów przedstawiać ma zdobycze rozumu ludzkiego. Oby chociaż tutaj obyło się bez cudów.

Rozprawa. Lekarz weterynaryi p. Kaczyński po obronie rozprawy p. t. *Anatomia gruczołów ślinowych u domowych zwierząt mięsożernych* otrzymał stopień magistra.

Samobójstwa. W Monaco od 1877 do 1885 r. odebrało sobie życie 1820 osób.

Gimnazyum w Łodzi stanowczo będzie otwartem na początku przyszłego roku szkolnego.

W Cieszynie zawiązało się Towarzystwo szkolne, którego pierwszym celem ma być założenie z funduszów składkowych gimnazyum polskiego. Dotychczas nie ma na Szląsku takiego zakładu dla młodzieży polskiej.

Prasa peryodyczna w Finlandyi liczy 43 pism fińskich i 37 szwedzkich, przy 2 milionowej ludności kraju, która nie skarży się na nadmiar dzienników.

Straż ogniowa ochotnicza w Kielcach z rozkazu general-gubernatora warszawskiego została rozwiązaną.

Obostrzenie. Do instytutów i szkół weterynaryi przyjmowani będą na przyszłość ci tylko uczniowie szkół realnych, którzy ukończyli t. z. klasę dodatkową.

Protest. Matka M. Bartusówny protestuje przeciw samowolnemu postępkowi niejakiego p. Stefana, który dochód z broszury czerniącej pamięć córki przeznacza na korzyść matki.

Bibliografia. Cypryan Dzierzbicki. *Zbiór wyroków Senatu departamentu kasacyjnego cywilnego z lat 1877—1882 zapadłych w sprawach z sądów Królestwa polskiego.* Radom.

— Zofia Urbanowska. *Księżniczka.* Powieść uwieńczona nagrodą konkursową. Warszawa 1886 r.

— *Ustawa Banku państwa*, kantorów i oddziałów. Warszawa 1886 r.

Prasa polska. P. Komierowski otrzymał pozwolenie na wydawanie dziennika p. t. *Figaro warszawskie.*

Jerzy Brandes zamierza podobno w styczniu przybyć do Warszawy i wygłosić kilka odczytów o piśmiennictwie polskiem.

Kara. Gazeta *Ruś* za to, że stale przemawia „w tonie niezgodnym z prawdziwym patryotyzmem i dąży do obudzenia nieuszanowania względem rządu,“ otrzymała pierwsze ostrzeżenie.

Nieznany obraz Rafaela, przedstawiający Madonnę z dzieckiem, odkrył prof. Nicolo w Lozannie.

Zwłoka. W Nieżynie, 17 listopada powiesił się niejaki Glinka i wisiał do 5 grudnia, ponieważ władze sądowe i lekarskie „nie miały czasu zajmować się śledztwem.“

Zmiana. Przepisy dotyczące cudzoziemców ulegną poważnym zmianom. W miejscach pogranicznych z innemi państwami nie wolno im nabywać własności ziemskiej nawet w razie przyjęcia poddaństwa rosyjskiego. Wszelkie przywileje zostaną zniesione, z praw rosyjskich zaś korzystać będą ci tylko cudzoziemcy, którzy naturalizowali się i mieszkają najmniej 10 lat w Rosyi. Nie wolno będzie zakładać osobnych kolonij cudzoziemskich, osiedleńcy zaś muszą zapisywać się do ksiąg ludności w istniejących gminach wiejskich. Władze cywilne i wojskowe wydadzą oddzielne przepisy o zajmowaniu posad przez osoby obcego pochodzenia.

Według niektórych pism—słowianie, jeżeli przyjmują poddaństwo rosyjskie, nie podlegają żadnym ograniczeniom.

Rokambol. W Kazaniu schwytany został sławny zbrodniarz, niejaki Zapolskij. Przed 40 laty wstąpił on do wojska, został wkrótce oficerem, potem za zabójstwo kolegi zdegradowano go na żołnierza, w parę lat potem powrócono mu stopień i znowu zdegradowano, co powtarzało się jeszcze kilka razy. Wreszcie wysłano łotra do Syberyi. Po kilku latach wrócił on jednak stamtąd z podrobionym paszportem, zajmował rozmaite posady. Schwytany na jakiejś kradzieży i wysłany zbiegł powtórnie, przejechał całą Rosyę, wydając się za doktora general-gubernatora wschodniej Syberyi Chruszczowa, wreszcie pod nazwiskiem dr. Czeremszańskiego został lekarzem ziemskim, potem zaś lekarzem powiatowym w Birsku. Ciekawa rzecz, że oszust ten, który o medycynie nie miał pojęcia, słynął jako akuszer i operator. Poznany przez dawnego znajomego uciekł i po niejakimś czasie zjawił się w Moskwie a potem w Kazaniu jako dr. Iwanow. Oprócz kilku zabójstw, niezliczonej cyfry kradzieży i oszustw i wszelkiego rodzaju przestępstw przeciwko własności, Zapolskij, o ile dotąd wiadomo, miał czas ożenić się 5 razy.

Zmarli. Stanisław Szulc, syn kowala z Witebska, w ciężkiej pracy ukończył szkoły i uniwersytet, doktoryzował się w Kijowie i miał wkrótce zostać docentem. Obszerna praca jego *O sekcyach stożkowych* drukowana była w *Bulletin des sciences*.

— Hieronim Kuczalski, autor powiastek dla dzieci i tłomacz sumienny wielu dzieł przyrodniczych.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Декабря 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.